TYGODNIK KOBIETY

CENA 50 GR.

Nr. 23
14 czerwca 1936 r.



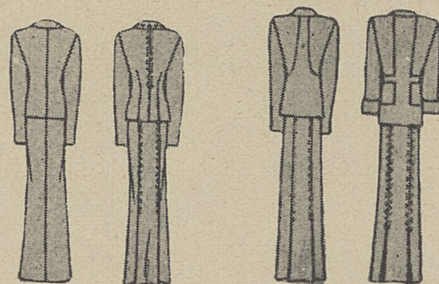
111. KOSTJUM SPACEROWY Z LNIANEGO PŁÓTNA ZAPIĘTY NA JEDEN GUZIK.

112. KOSTJUM Z WEŁNY W DROBNĄ KRATECZKĘ CZARNO-BIAŁĄ. W KLAPIE BUTONIERKA.

113. KOSTJUM Z BIAŁEGO LNIANEGO PŁÓTNA, ZAPIĘTY NA DWA GUZIKI, PRZYBRANY KIESZENIAMI. BLUZKA Z PŁÓTNA W PASY KOLOROWE.

114. PODRÓŻNY KOSTJUM Z SZAREJ WEŁNY.

Na okładce Jan Kiepura z partnerkami. Photo Paramount.



TYGODNIK KOBIETY

ROK II. Nr. 23. 14 CZERWCA 1936 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NATOLIŃSKA 9 m. 13 — TELEFON 7-08-03

DZIECI W WIEKU DZIECKA

W naturze ludzkiej leży dyspozycja do umniejszania błędów własnych, a powiekszania cudzych. Istnieją ludzie, którzy poprostu nie potrafią mierzyć swojej wartości inną miarą, jak negatywną: ujemna cudza jakość pokrzepia ich na duchu.

Ilekroć czytam ironiczne uwagi na temat urządzeń w Sowietach, opierających się na jaskrawym kontraście, tylekroć muszę myśleć, że rzeczywistość kontrastów istnieje u nas także.

Zachodnio-europejski rozmach, z jakim są budowane nowe szkoły i ochrony w wielkich miastach, urządzane kolonje i „dnie dziecka" nie stoją w żadnej proporcji z tem, co dzieje się na olbrzymiej przestrzeni Polski, na zapadłej wsi kresowej.

Chwilami wydaje się to aż dziwaczne, że nie istnieje jakiś „czas ochronny", któryby bronił dzieci przed wyzyskiem sił i zdrowia. Gdyż na wsi dziecko w wieku przedszkolnym, w wieku, w którym miejskie dzieci ze sfer robotniczych bawią się w przedszkolu, żyje życiem pracy i obowiązku. Już pięcio-, sześcioletnia dziewczynka niańczy młodsze rodzeństwo, nosi je, karmi, kołysze. Ośmioletnie dziecko z reguły bywa uważane za siłę roboczą. Jeżeli w domu nie jest niezbędne, oddaje się je na służbę: dziewczynkę jako piastunkę, chłopca do pasienia bydła. Taka ośmioletnia dziewczynka przeżywa tragedje i jest przyczyną tragedyj.

Wieczyście przykuta do kołyski dziecka, z obolałemi ramionkami od piastowania niemowlęcia, z rozdartem sercem na widok młodszych dzieci bawiących się swobodnie, uspakaja niejednokrotnie płaczące dziecko makiem lub sacharyną, której nie brak w żadnej chłopskiej chacie.

Zdarza się, że niemowlę zatrute sacharyną umiera, najczęściej zapada na zdrowiu, choruje i płaczem zadręcza malutką piastunkę w dalszym ciągu.

Większość dzieci, oddana na służbę, do szkoły nie chodzi wogóle. Te dzieci, które rodzice posyłają do szkoły, nie uczą się także regularnie; zimą zatrzymuje je w chacie mróz, latem praca.

Te tragiczne warunki bytowania na wsi kresowej stwarzają też odrębny typ dzieci, różniący się zasadniczo od dziecka miejskiego. Jeżeli chodzi o rozwój intelektualny, to przeciętne dziecko wiejskie jest o kilka lat cofnięte. Pewne ogólne zacofanie rozwojowe nie wyrównuje się zresztą nigdy i tem tłumaczy się odrębność mentalności chłopskiej od pro letarjatu miejskiego.

Lecz największa różnica pomiędzy dzieckiem proletarjackiem miejskiem a wiejskiem istnieje w postawie życiowej jednych i drugich.

Zahamowanie rozwoju intelektualnego sprzyja niesłychanie rozwinięciu się instynktu, który w wielu wypadkach staje się wprost konieczny w w istniejących warunkach; natomiast brak opieki i pozostawienie dzieci samym sobie wyrabia w nich okrucieństwo i bezwzględność.

Dziecku wiejskiemu bardzo wcześnie bywa odjęta jego dziecinność, a jego pojmowanie jest siłą rzeczywistości przystosowane do powagi i ciężarów jego życia.

Znam trzynastoletniego chłopca „Pietruka", którego brat przyrodni za nieposłuszeństwo i kradzież machorki wypędził z chaty. Było to w styczniu. Trzynastoletni Pietruk — w mieście zostałby włóczęgą lub złodziejem, lecz na wsi kresowej trzynastoletni chłopiec czuje się mężczyzną.

Po przeprawie z bratem, Pietruk zabrał wszystko, co stanowiło jego wyłączną własność i zaczął przygotowywać się do drogi, bez płaczów i narzekań.

Na brudną koszulę, którą miał na sobie nałożył drugą czystą, następnie wciągnął jedną po drugiej dwie pary spodni. Kurtkę miał tylko jedną, włożył ją na siebie, dalej kożuszek, który ściągnął paskiem. Następnie zastanawiał się długo, co zabrać buty czy wojłoki? po namyśle buty nałożył na nogi, wojłoki wpakował do kieszeni. Ubrany w całą swoją garderobę poprosił bratową o kawałek chleba, z chlebem w jednej ręce, z kijem w drugiej wyszedł z chaty. Doszedłszy do drogi przystanął i znowu się zamyślił: w lewo prowadziła droga do okolicy szlacheckiej, w prawo do parafjalnego miasteczka. Wybrał kierunek okolicy. Od dworku do dworku chodząc zgodził się wreszcie do pomocy w gospodarstwie i pasienia bydła za utrzymanie i kilkanaście pudów zboża, aż do następnej zimy. Pietruk nie umie pisać ani czytać, nie lubi się myć, jest krnąbrny i nieposłuszny, jest też hardy i śmiały; od dzieciństwa dawał sobie sam radę, jak zwierzątko. Jego instynkt życiowy i dzielność mają w sobie także coś zwierzęcego. Pietruk nie jest bynajmniej wyjątkiem. Nieprawdopodobny to był widok, jak gruby od odzieży, którą wdział na siebie, stał na drodze, rozglądając się, w którą stronę świata ma wyruszyć na służbę, jednak jego harda, uparta postawa nie miała w sobie nic wzruszającego, natomiast historja Kaziuka nieślubnego syna

Jadźki, zwanej „kurnosą" jest wręcz wzruszająca.

Dopóki Kaziuk był maleńki chował się w kuchni we dworze, w którym służyła jego matka. Gdy podrósł, matka zmieniła służbę i siedmioletniego Kaziuka zgodziła do gospodarza, mieszkającego o 10 kilometrów od dworu, w którym chłopiec chował się dotychczas. W kilka tygodni po owem wydarzeniu pewnego, mroźnego dnia lutowego, zjawił się pod wieczór w kuchni dworskiej przemarźnięty Kaziuk. Pieszo, bez niczyjej pomocy przyszedł z odległej wioski, zawianą drogą, którą przebył saniami raz jeden. Wszyscy, nie wyłączając państwa obstąpili Kaziuka, który zaczął opowiadać, jak to u gospodarza pomagał sieczkę kroić, doglądał bydła, palił w piecu, aż dopóki gospodyni nie posprzeczała się z mężem, zabrała krowy i odeszła; Wtedy gospodarz uznał, że ośmioletni parobek jest mu niepotrzebny i kazał chłopcu opuścić chatę, jako zapłatę wyliczając mu gotówką trzydzieści groszy polskich. Kaziuk kierując się pamięcią trafił najpierw do miasteczka, tam za 10 gr. kupił bułek, za 20 gr. kiełbasy „gdybym miał więcej pieniędzy — opowiadał — kupiłbym jeszcze wódki na rozgrzanie", i posiliwszy się ruszył przez zaspy śnieżne w dalszą drogę. Nie mając wyobrażenia, w którą stronę ma się skierować, ażeby trafić do matki, wrócił do dworu, wiedząc, że jest to jedyny pewny schron, który mu na zimę pozostał.

Tejże zimy, gdy któraś z dziewcząt folwarcznych zwróciła Kaziukowi uwagę, ażeby nie ślizgał się po lodzie, gdyż niszczy obuwie, Kaziuk odparł: „Teraz mam prawo drzeć buty, bo potrafię sam na nie zarobić".

Jakoż istotnie z nastaniem wiosny, matka zgodziła go do pasienia bydła. Począwszy od owej pierwszej służby, Kaziuk wstąpił w szeregi ludzi pracujących. Nie jest już dzieckiem, czuje się chłopcem.

Los dzieci w porównaniu z dolą ich matek, nie jest wcale jeszcze najgorszy, lecz zaniedbanie i opuszczenie dzieci jest zawsze najsmutniejsze. Pokolenie starsze jest siłą rzeczy stracone już dla kultury i postępu, lecz jakież zmiany mogą wnieść w życie ludzie, którzy od dzieciństwa są zdani na siebie, jak zwierzęta leśne, którzy mają jedną tylko troskę o wyżywienie, którzy rządzą się instynktem ratującym ich od śmierci i głodu, lecz, jak bardzo niedostatecznym tam, gdzie dokonują się przeobrażenia i ważą losy ludzkie w imię godności człowieczej.

Jadwiga Żylińska

OGRÓDEK JORDANOWSKI

Dzieci wielkiego miasta, spędzając całe dnie w jego ciasnych murach, bez słońca i powietrza, oczekują z niecierpliwością wiosny, by móc użyć swobody na upragnionym, długim spacerze.

Ale spacer po ulicach, gdzie dziecko jest potrącane przez wiecznie śpieszących się przechodniów i trzymane mocno za rękę przez ojca lub matkę, nie jest żadną przyjemnością, a spacer w parku lub ogrodzie miejskim, gdzie przeszkadza się dorosłym, szukającym ciszy i wypoczynku, również nie jest nęcący.

Brak wolnych przestrzeni w dużych miastach, przestrzeni przeznaczonych wyłącznie dla dzieci, został zrozumiany w zupełności i stał się wszędzie zagadnieniem aktualnem. Szczególnie Ameryka osiągnęła najwyższy poziom, tworząc setki ogrodów dziecięcych, gdzie gęstość ich nie przekracza nieraz pół kilometra. W Polsce potrzebę stworzenia takich wolnych miejsc, przeznaczonych do spacerów i zabaw, zrozumiał dr. Jordan i z jego inicjatywy został założony w Krakowie pierwszy ogród dla dzieci.

Prawdziwym jednak typem ogrodu zamkniętego, urządzonego na wzór amerykański, był założony przez Marszałkową Piłsudską w 1929 r. w Warszawie ogród przy P. U. W F., Bagatela 2. Obecnie jest w Warszawie 7 ogrodów Jordanowskich: Bagatela 2, Hoża 88, Wawelska 3, Wybrzeże Kościuszkowskie 12, Ludwiki 6 (Wola), na Żoliborzu w miejskich barakach dla bezdomnych i przy II-im Ośrodku Zdrowia na ul. Opaczewskiej.

Karty wstępu są płatne (3 zł. mies.) dla dzieci rodziców zamożniejszych, bezpłatne dla biednych, które są także dożywiane. Wszystkie dzieci mają opiekę lekarską, przy zapisie są badane przez lekarza, by nie zaraziły innych dzieci zakaźnemi chorobami, podręczna apteczka służy w nagłych wypadkach.

W każdej porze roku wszystkie dzieci, począwszy od niemowląt, aż do tych najstarszych, czteroletnich, mogą korzystać ze świeżego powietrza, wrazie zaś niepogody, znajdują schronienie w ogrzanych zimową porą pawilonach, gdzie jest również pokój, przeznaczony specjalnie do karmienia i przewijania niemowląt.

Dzieci bawią się pod opieką wykwalifikowanych instruktorek, nieskrępowane jednak niczem, swobodne i wesołe, używają w zimie ślizgawki i zjeżdżają z toru saneczkowego; w lecie opalają się na piasku, bawią się w różne gry; mają też swoje grządki kwietne i warzywne, kopią, grabią, sieją, pielęgnują kwiaty, rywalizują ze sobą szlachetnie.

Małe społeczeństwo z Ogródków Jordanowskich uczy się współżycia. Razem się tu bawią dzieci rodzin zamożnych i ubogich. Zdala od świata ludzi dorosłych, w którym łatwo jest zatracić dziecięcą radość, dziecko zostawia za sobą wszelkie troski, gnębiące w domu, zapomina o tem, co złe i smutne, bawi się wesoło, traktując Ogród jako coś swojego, gdzie w gromadzie jest miło i dobrze.

Jakież to dobrodziejstwo dla matek!. Mogą tu zostawić dziecko tak samo urzędniczki, pracujące w biurze, czy nauczycielki, jak i biedne wyrobnice, wiedząc, że znajdzie ono opiekę, że nie stanie mu się krzywda moralna czy fizyczna, bo dzieci są traktowane jednakowo, bez względu na sferę, pochodzenie, czy narodowość.

Dla matek pracujących Ogród posiada wielkie znaczenie: z bark ich zdejmuje jedną z największych trosk, — opiekę nad dzieckiem na czas ich nieobecności w domu. Matka idzie do pracy spokojna, bo wie, że nie potrzebuje się martwić w chwili swych zajęć codziennych, co teraz porabia jej dziecko. Ma ono zapewnioną opiekę.

To też matki zrozumiały ideę Ogrodów Jordanowskich, posyłając ufnie do nich dzieci, wierząc, że tam znajdą nastrój szczęśliwego dzieciństwa, radość życia, dalekiego od trosk ludzi dorosłych, z którymi w przeciwnym razie musiałyby obcować. A słońce i świeże powietrze, najmilsza swoboda w towarzystwie rówieśników, dają radość życia i chęć do życia...

Hanna Wiśniewska

Kobieta w wolnym zawodzie

PRZEWODNICZKA

Kobieta jest dziś postawioną wobec coraz to nowych trudności — zwłaszcza kobieta zamężna, której pozostawiono redukcję i wolną rękę, a więc nieco mało.

Odkąd posada urzędniczki czy jakiejkolwiek innej pracownicy etatowej, została zagrożona w możliwościach zarobkowych mężatki, zmuszoną jest ona szukać oparcia w innej kategorji zajęć, przedewszytskiem w wolnym zawodzie.

A czem są dzisiaj wolne zawody? — to wiemy. Prawie zawsze stają się przyczyną przykrych zawodów. Wymagają bowiem wielkiego nakładu pracy, czasu i pieniędzy. W rezultacie wkład włożony nie amortyzuje się. Zawód wolny staje się niewolniczym deficytem. Pozostają więc kobiecie, jako jedyna ostateczność, obie ręce i... własny spryt. Rzeczy tak niewiele dziś znaczące, bo obecnie łatwiej o wybitniejsze indywidualności ludzkie, niż indywidualne zarobki. Kobieta więc rzuca swoją pracę, to tu, to tam, gdzie się uda, na los szczęścia na wszelki wypadek. Musi korzystać z własnych przyrodzonych wartości, zdolności, i szczęśliwych okoliczności. Zmuszona jest stanąć do pracy z tym zapasem wiadomości, jakie posiada w chwili danej, gdy jest zaskoczona potrzebą zarobku. Tu i tam spotyka się dziś takie kobiety, które jakoś sobie radzą, które potrafią uchwycić rąbek nieuchwytnych dziś możliwości. Współczesne amazonki pracy.

Oto jeden z jej przykładów...

Kobieta w roli przewodniczki, oprowadzającej wycieczki zagraniczne. Zawód par excellence wolny. Zajęcie sezonowe, zarobki nieregularne.

Czy kobieta nadaje się do tego typu pracy? — Pytania tego nie należy dziś zadawać, ani na nie odpowiadać. Każdy się dziś do wszystkiego nadaje, jeśli musi żyć. A gdy chodzi o dziedzinę zajęć wyłącznie kobiecych, to też przestało się na ten temat już dyskutować. Rosja rozwiązała najtrudniejsze problemy pracy kobiet, u nas konieczność decyduje o jakości i gatunku tej pracy. Niemniej spróbujmy jednak zadać to pytanie samej przedstawicielce tego interesującego zawodu.

Składa się dobrze, bo oto przypadek styka mnie z panią S. pełniącą odpowiedzialną funkcję jednego z głównych przewodników po Krakowie. Pani S. przyjmuje mnie sympatycznie w swym stylowym salonie.

— Co skłoniło panią do wyboru tego zawodu? — Pytam.

— Niechęć do wszelkiego rodzaju pracy biurowej, a zamiłowanie do pracy żywej, ciekawej, no i potrzeba zarobku oczywiście.

— Jest więc pani w tem szczęśliwem położeniu, że praca zarobkowa nie zadaje gwałtu pani aspiracjom i zdolnościom, jak to dziś bywa na każdym kroku. Jakich wrażeń dostarcza pani tego rodzaju zajęcie?

— Dużo i bardzo rozmaitych a wszystkie naogół interesujące. Ciągły ruch. Coraz nowi ludzie, nowe typy. Mam sposobność dokładnie obserwować sposób reagowania cudzoziemców na otoczenie polskie i nasze pamiątki. A trzeba wiedzieć, że każdy zosobna inaczej przyjmuje to, co im mówię o zabytkach krakowskich. Ta gra wrażeń jest niezmiernie interesująca i trzeba umieć ją zrozumieć, co jest niezbędnym warunkiem dla dobrego oprowadzającego. Jeśli bowiem coś specjalnie zaciekawi takiego zagranicznego gościa, należy zainteresowanie to podtrzymać, rozwinąć i wyzyskać w celach propagandowych. Natomiast w wypadkach kiedy zwiedzający czuje się znużonym lub znudzonym, oprowadzający musi to spostrzec lub wyczuć i delikatnie przejść na inny temat, a czasem nawet zręcznie zmienić plan ułożony, usuwając cięższe momenty, lub podając je w lżejszej, przystępniejszej formie.

Należy rzucić od czasu do czasu jakąś anegdotkę, jakieś dowcipne zdanie związane z sytuacją, odpowiadające chwili. Dobrze jest także wtrącić gdzie niegdzie parę słów prywatnej, towarzyskiej rozmowy, co jest mile widziane u zwiedzających, a ma tę zaletę, że ich ożywia, podnieca zapał i prowokuje do szczerszych sądów i głośnego wypowiadania wrażeń.

— Jak przedstawiał się pani pierwszy występ?

— Przyjmowałam wówczas wycieczkę finlandzką, objaśniałam w języku niemieckim. Specjalny nacisk trzeba było położyć na opanowanie technicznych wyrazów. Oczywiście wymagało to pewnego przygotowania. Naogół poszło dobrze.

— Czy w zawodzie tym stosują się jakieś specjalne metody pracy?

— Kurs przeszkoleniowy podaje pewne zasady. Nie należy się jednak zbyt pedantycznie ich trzymać. Ja, przynajmniej, nigdy jednakowo nie oprowadzam, choć pokazuję zawsze to samo. Daltego pracy tej niesposób wykonywać bez zamiłowania, wymaga ona bowiem w zupełności indywidualnego podejścia.

— Jak pani sądzi, czy zawód ten nadaje się więcej dla kobiety czy dla mężczyzny?

— Choć na korzyść mężczyzny przemawia to, że ma on głos silniejszy, jednak większe dane powodzenia ma niezaprzeczenie kobieta. Posiada daleko więcej intuicji, lepiej wyczuwa sytuację, łatwiej przenika psychologję zwiedzających, i zależnie od tego może nadać specjalny ton swym objaśnieniom, bardziej przystosowany do nastrojów swoich słuchaczy. Podczas gdy mężczyzna przeważnie recytuje programowo i nic z siebie nie daje.

— Czy może mi pani cośniecoś opowiedzieć o całym swoim dniu pracy?

— Porządek moich funkcyj jest następujący:

Oczekuję wycieczki na dworcu, gdzie uprzednio zamawiam dla niej bagażowych. Przyjeżdżających witam krótkiem przemówieniem. Potem autobusami odstawiam do hotelu. W hotelu rozmieszczam gości w przygotowanych dla nich pokojach, muszę nawet wglądać w najdrobniejsze ich potrzeby, często załatwić jakiś sprawunek. Służę oczywiście jako tłumacz. Obowiązana jestem być też na wspólnym posiłku, podczas którego nawiązuję i prowadzę rozmowę. Tego dnia jeszcze obznajmiam wycieczkę z programem.

Na drugi dzień dopiero zaczyna się zwiedzanie; trwa zwykle do południa. Popołudniu prawie zawsze jest krótka wycieczka po okolicy, w tem obowiązkowo Wieliczka. Dzień kończy się przeważnie jakąś imprezą artystyczną: teatrem lub koncertem, zależnie od tego co w danej chwili znajduje się w repertuarze rozrywkowym miasta. Nie obejdzie się też nigdy bez bankietu, który urządzają goście zagraniczni na zakończenie swego pobytu w Polsce. —

Ponieważ rozmowa schodzi na temat turystyki trudno przy okazji powstrzymać się od zapytania, zasadniczo odbiegającego od założenia wywiadu, ale dotyczącego kwestji wszystkich interesującej, stosunku cudzoziemców do nas, Polaków, i do zabytków polskiej kultury.

— Jakie wrażenie naogół odnosi pani z pobytu cudzoziemców w Polsce, i co sądzi pani o wycieczkach zagranicznych?

— Przedewszystkiem jedno małe wyjaśnienie co do rodzaju samych wycieczek. Dzielą się one na dwie grupy zasadnicze: wycieczki oficjalne i wycieczki indywidualne. Te ostatnie są dużo milsze dla oprowadzającego, bo można mniej ściśle trzymać się pro-

gramu, zawierać bliższą znajomość ze swemi słuchaczami i przez bezpośerdnie nawiązanie kontaktu dużo łatwiej rozwijać propagandę. Podczas gdy w stosunku do oficjalnej jest się skrępowanym pewnemi rygorami i nie wolno być niczem więcej, jak tylko wykonawcą obowiązku.

Mnie osobiście każda niemal wycieczka zagraniczna pozostawia bardzo miłe wrażenia.

Przedewszystkiem to trzeba zaznaczyć, że goście zagraniczni przyjeżdżają bardzo sympatycznie nastawieni, przychylnie się odnoszą do wszyst kiego, a tem co widzą są zaskoczeni i mile oczarowani. I tu zależy wiele od przewodnika, którego rola jest naprawdę niełatwą. Muszę zjednać sobie tych ludzi szeregiem uprzejmości, niczem ich nie urazić, czem uspasabiam ich dobrze do całego kraju i do Polaków w ogólności. Spotkałam się też z ich strony z ogromną wdzięcznością. Mam nawet takich co po upływie szeregu lat pisują jeszcze do mnie.

(Trzeba zaznaczyć nawiasem, że jedna z angielskich broszur turystycznych zamieściła o pani S. specjalną wzmiankę w dowód wdzięczności za oprowadzanie po Krakowie).

— Niezmiernie doniosłą rolę, — mówi dalej sympatyczna rozmówczyni, — odgrywa w oprowadzaniu wrodzone poczucie taktu, zwłaszcza w dziedzinie tych pamiątek historycznych, które są związane z pewnemi drażliwemi momentami poiltycznemi. N. p. nie mogę gwałtownie pokazywać wycieczce niemieckiej „Jagiełły pod Grunwaldem", lub „Hołdu pruskiego". Takie tematy należy umiejętnie i delikatnie pominąć.

— Z których krajów wycieczki odnoszą się do nas najsympatyczniej?

— Trudno na to dać odpowiedź kategoryczną. Naogół zawsze spotykałam się z ogromnym entuzjazmem i nie ma w tym wypadku różnic pomiędzy nastawieniem np. Anglików czy Francuzów, Niemców czy Holendrów.

Przynajmniej dotąd nie zauważyłam wcale wpływu tendencji nacjonalistycznych w sposobie reagowania na naszą kulturę przeszłości. Natomiast rzecz się ma zupełnie inaczej jeśli chodzi o Polaków z zagranicy.

Jest to bezsprzecznie element niekorzystnie usposobiony do wszystkiego co widzą w Polsce, krytykują wszystko co się da, a już specjalnie napastują wewnętrzne urządzenia domowe i komunikację.

— Jakie zabytki Krakowa wywierają największe wrażenie na cudzoziemcach?

— Przedewszystkiem kościół Marjacki, którym są wprost olśnieni. Pozatem Wawel i bibljoteka Jagiellońska. W Katedrze podobają się raczej poszczególne kaplice z Zygmuntowską na czele, niż całość. Zamek królewski, sarkofagi i grobowce oczywiście również. Miałam jednak i taki wypadek. Mianowicie jedna Polka z Ameryki przy zwiedzaniu nowoczesnej sypialni Prezydetna zawołała: No, tu mi się dopiero podoba.

Pozatem warto zaznaczyć, że terenem wycieczkowym, cieszącym się ogromnemi sukcesami, jest dzielnica żydowska, t. zw. Ghetto na Kazimierzu. Zapał i entuzjazm przy oglądaniu tego historycznego zakątka często jest większy, niż przy zwiedzaniu Wawelu. Poczęści jest to uzasadnione tem, że ta dzielnica posiada rzeczywiście bardzo stare zabytki, domy i bóżnice z XIV wieku. Nie o wiele mniejszą atrakcję stanowią charakterystyczne typy tamtejsze w czarnych kapeluszach lub lisich czapkach, z długiemi czarnemi brodami i misternie kręconemi pejsami. To wszystko, co stanowi nasz importowany ale, niestety, miejscowy egzotyzm.

— Sądząc po tylu ciekawych rzeczach, jakie mi pani powiedziała, zawód przewodniczki w turystyce daje dużą satysfakcję kobiecie.

— O tak i jeszcze raz zaznaczam, że jest to bardzo szerokie pole działania dla kobiety, jeden z bardziej odpowiedzialnych, a zarazem najciekawszych no i odpowiednich dla niej zawodów.

I gdyby zapropnowano mi zawód inny, płatny dużo lepiej nawet, nie zamieniłabym się z pewnością.

Marja Rudzka

WYSPA KOBIECYCH OBOWIĄZKÓW

Bali! Dalekie, nieznane, tajemnicze i pełne orjentalnego wdzięku Bali! Kraina uśmiechniętych twarzy, szafirowego nieba, błogostanu, lenistwa, zieleni, obfitości i słońca! Tak, uśmiechają się tu wszyscy, a najwięcej kobiety, jakkolwiek naprawdę nie mają do tego powodów, bo na błogosławionej tej wyspie emancypacja ich dokonała się dopiero połowicznie. Mają one obowiązki mężczyzn, ale żadnego z ich praw. Doprawdy, ani jedna dzielna niewiasta europejska nie mogłaby się pochwalić taką ilością pracy, jaka jest udziałem kobiet na Bali: od drobnego handlu, aż do dźwigania kamieni i budowy szos, od pielęgnowania dzieci do hodowli dzikich czarnych świń malajskich, cała najcięższa robota dnia spoczywa na ich ramionach.

A jednak uśmiechają się, uśmiechają się w przeciwieństwie do mężczyzn. Och, o n i mają tyle innych spraw na głowie, niż przyziemne zajmowanie się troskami! Siedzą bezczynni i zamyśleni, zastanawiając się godzinami nad rozmaitymi bogami, których ciągle i stale muszą za coś przepraszać, czcić i uwielbiać, kombinują walki kogutów, obrachowują wartość swych pól ryżowych, a wreszcie — owszem, owszem! — przypominają sobie nawet o żonach.

Jeżeli taki mieszkaniec Bali jest ubogi, to ma tylko jedną małżonkę lub dzieli ją z przyjacielem, jeżeli jest bogaty, pozwala sobie na dwie; cztery świadczą o znacznem bogactwie, a ponad dziesięć mają tylko nieliczni panowie ze starych książęcych rodzin. Kobieta uchodzi tu tylko za materjał roboczy. Stosunek taki nazywałby się w Europie niewolnictwem kobiet i tyranją mężczyzn, ale Daleki Wschód osądza go mniej surowo i łagodzi socjalne ostrości gładkiemi formami towarzyskiemi. Do umysłu balijskiego mężczyzny, leżącego w cieniu palm i żującego batel, gdy żona jego dźwiga kamienie, wcale nie przenika, że jest wybrańcem losu. Przecież musi myśleć o bogach, o radzie gminnej, o sztuce — niechże resztę ma na głowie żona! Taki podział uświęcony jest przez wiele tysięcy lat i czyż może być sprawiedliwszy? Wątpi w to nietylko on, ale i kobieta.

Meżczyzna np. żywiony jest pożywnie i dostatnio, gdyż małżonka od ust sobie odejmuje, aby pan i władca miał wszystko, ona zaś jada najczęściej mniej posilne bulwy taroku, który musi sobie sadzić i hodować sama. Kobieta okrywa sobie biodra skromną zapaską, mężczyzna owija się w bawełnę i kosztowne tkaniny; węzeł czarnych włosów, a czasem szkarałtny kwiat ślazu w splotach ozdabia głowę żony — mąż paraduje w śnieżnym zawoju, malowniczo ujmującym w ramę jego piękną brunatną twarz. Przykładów takich można mnożyć bez liku.

Gdyby zdać Bali na łaskę bojowniczek o prawa kobiece, nie pozostawiłyby one kamienia na kamieniu z jej ustroju społecznego.

Lecz któż mógłby zaręczyć, że Bali stałoby się przez to szczęśliwsze?

Zofja Petersowa

OKNO NA ŚWIAT

W dniu 5.VI — odbyło się w Warszawie uroczyste poświęcenie ogródka Jordanowskiego Tow. „Osiedle", na ul. Opaczewskiej, oraz poświęcenie gmachu II Ośrodka Zdrowia i Opieki.

Uroczystość zaszczycili swą obecnością: Pani Prezydentowa Marja Mościcka, pani Marszałkowa Piłsudska z córką, p. minister W. R. i O. P. Prof. Świętosławski, wiceminister Piestrzyński, prezydent miasta Starzyński wraz z bawiącym w stolicy prezydentem Budapesztu p. Szendy, oraz liczni przedstawiciele Min. Opieki Społecznej, Zarządu Miejskiego i Funduszu Pracy.

Uroczystość miała charakter bardzo podniosły i serdeczny.

Poświęcenia dokonał Ks. Mauersberger.

Liczne zebrane dzieci pod fachowym kierunkiem instruktorów wykonały popisowe ćwiczenia gimnastyczne. Najmłodsi przedstawiciele dziecięcego grona wręczyli p. Marszałkowej Piłsudskiej i p. Marji Mościckiej pamiątkowe laurki.

Na jednym z trawników ogródka zwracał powszechną uwagę olbrzymi głaz z wyrytemi nań słowami Marszałka Piłsudskiego — „Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia".

Triumf kobiet francuskich

Do nowego gabinetu francuskiego, utworzonego przez Leona Bluma weszły aż trzy kobiety, w rolach podsekretarzy stanu, a mianowicie: p. Irena Joliot-Curie (córka Marji Skłodowskiej-Curie) — dla opieki nad dzieckiem, p. Zuzanna Lacore — dla spraw zakładów wychowawczych i opieki nad wdowami wojennemi i p. Brunswig — dla spraw wychowania fizycznego.

Z powodu tak zaszczytnego wyróżnienia trzech rodaczek kobiety francuskie triumfują.

Z konkursów hippicznych

Pani von Opel, znakomita amazonka niemiecka zdobyła szereg zwycięstw na ostatnich konkursach hippicznych w Warszawie.

W dniu 3.VI został rozegrany konkurs rzeki Wisły o nagrodę ministra Władysława Raczkiewicza — był to konkurs szybkości dla pań i jeźdźców cywilnych. W konkursie tym p. von Opel zajęła pierwsze miejsce na koniu Arnin i drugie na koniu Nanuk, dopiero piąte miejsce zdobyła Polka p. Chodkiewiczówna na Nicponiu i siódme p. Rozwadowska na Koryfeuszu.

Dnia 7.VI — na konkursie Św. Jerzego, dla pań i jeźdźców cywilnych poszczęściło nam się lepiej, pierwsze miejsce zdobyła p. Oserowa z Łodzi, na Reszce, p. von Opel zdobyła dopiero piąte miejsce na Nanuku.

Tem niemniej musimy stwierdzić, że p. von Opel jest pierwszorzędną amazonką i popisy jej w Łazienkach cieszyły się zasłużonem uznaniem.

Ze zjazdu Związku Pań Domu

Uroczysty Zjazd Związku Pań Domu uświetniło udekorowanie Krzyżami Zasługi założycielek i zasłużonych działaczek Związku:

Złote Krzyże Zasługi otrzymały:

p. Iza Mandukowa — Przewodnicząca Zarządu Głównego.

p. Janina Huberowa — Przewodn. Instytutu Gospodarstwa Domowego.

p. Irena Szumlakowska.

Srebrne Krzyże Zasługi otrzymały:

p. Marja Chmieleńska z Warszawy, wice Przewodn. Oddziału Warszawskiego, p. Halina Mamelokowa z Sosnowca, p. Kamilla Nitschowa z Katowic.

Kobieta na nowych stanowiskach

Istnieją dziedziny, do których kobiety nie mają dotąd dostępu. Siłą nieopisanych praw, kobieta nie może zostać np. strażakiem, kominiarzem i t. d. Nie była również dotąd producentem filmowym.

Ale ostatnio powstała w Wiedniu nowa wytwórnia filmowa, która wkrótce rozpoczyna produkcję. Kierowniczką tej wytwórni mianowano kobietę, p. Marję Steffan.

P. Marja Steffan pracuje w filmie od szeregu lat, ale dotychczas tylko w charakterze autorki scenarjuszów. Poraz pierwszy powierzono jej kierownictwo wytwórni — miejsce zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

Na „pierwszy ogień" idzie film p.t. „Pierwsza miłość".

W kołach filmowych nominacja p. Steffan wywołała zrozumiałe wrażenie i... popłoch wśród „silniejszej" połowy ludzkości. Wszyscy z ciekawością oczekują zrealizowania filmu.

Miejmy nadzieję, że p. Steffan zawiedze nadzieje swoich kolegów, którzy dosyć sceptycznie odnoszą się do nowej kierowniczki, obawiając się zawładnięcia przez kobiety placówki, która była dotąd wyłącznym udziałem mężczyzn.

Obrona praw kobiety

Z krzywdzącem zarządzeniem redukowania mężatek z urzędów, stanęły do walki organizacje urzędnicze. Zarząd Główny Stow. Urzędników Państwowych złożył ostatnio memorjał w tej sprawie do Prezydjum Rady Ministrów.

W memorjale tym, stojąc na straży interesów zawodowych kobiet, zatrudnionych w urzędach i instytucjach państwowych, Stowarzyszenie doma-

Przesądy, a rzeczywistość

Jesteśmy wszyscy trochę przesądni, a są tacy, którzy w każdem niemal zjawisku chcą widzieć wróżbę szczęścia lub niepowodzenia. Ci lubują się przedewszystkiem w komentowaniu snów.

Twierdzą oni, że gdy komu śni się woda, piasek albo np.... pchły, to może być pewny, że wygra na loterji, bez względu na to, jaki sobie numer losu wybierze. Ale niepotrzebne są ani woda, ani piasek, ani nawet pchły temu szczęśliwcowi, któremu wyśni się dokładny numer. Cały dowcip polega już wówczas na tem, żeby ten numer zdobyć, zanim dostanie się on do rąk kogo innego.

Wynikiem ciągnienia loterji rządzi — jak wiadomo — przypadek. Otóż, oczywiście, nieraz zdarzyć się może, że wielka wygrana przypadnie akurat temu, komu przyśniły się skaczące lub jakieś jeszcze gorsze insekty, co naturalnie wywołuje niesłychany entuzjazm śród zwolenników guseł i zabobonów. Wypadki, kiedy się sny nie sprawdzają, nie wchodzą dla nich poprostu w rachubę.

Człowiek rozsądny wierzy tylko w jedno: wygrać na loterji może tylko ten, kto posiada los. Kto go nie posiada, to choćby mu się nietylko pchły, ale hippocentaury śniły — żadną miarą wygrać nie może. Lepiej więc najprzód nabyć los, a potem dopiero pozwolić sobie na słodką drzemkę i śnić o wygranej w rozpoczynającem się w nadchodzący czwartek ciągnieniu pierwszej klasy trzydziestej szóstej Loterji Państwowej.

ga się zaniechania usuwania kobiet z zajmowanych przez nie stanowisk, nie omijania ich przy awansach, mianowaniu na stanowiska kierownicze i t.d.

Kobiety stanowią 53 proc. ludności w Polsce. Czyż jest więc sprawiedliwem, aby nie miały tych samych praw do pracy, co 47 proc. mężczyzn? I czy stan cywilny lub płeć mają odgrywać decydującą rolę, czy też zdolności i wykształcenie?

Jak na memorjał Stow. Urzędników Państwowych odpowie Rada Ministrów, niewiadomo. I trudno zgóry przewidzieć.

Bo przecież w Prezydjum Rady Ministrów nie ma ani jednej kobiety...

Nowoczesna Ninon de Lenclos

— Nie zestarzeję się dopóki życie będzie miało dla mnie jakąkolwiek wartość — mówiła wiecznie młoda hr. de Tessancourt.

I dotrzymywała słowa. Pomimo przekroczonej sześdziesiątki, sprawiała wrażenie najwyżej 30-letniej kobiety. Piękna, bogata, była znana na południu Francji i niemal całe noce spędzała w salach gry w Monte Carlo.

Dzieje nowoczesnej Ninon de Lenclos, Fanny Robert, Angielki z pochodzenia, to fantastyczny film, pełny miłości, emocyj i kaprysu. Uważana za jedną z ładniejszych dziewcząt w Anglji, sprzedawała kwiaty na Montmartrze. Tutaj poznała bogatego przemysłowca, który dla urodziwej kwiaciarki porzucił niedawno poślubioną małżonkę.

Para kochanków zamieszkała w wspaniałej willi w Lasku Bulońskim, Fanny Robert przybrała miano hrabiny de Tessancourt, mówiono nawet o ślubie, który miał połączyć młodych ludzi. Ale piękna Angielka nie była stworzona do spokojnego, szarego bytowania.

Pewnego razu uciekła z włoskim muzykiem do Sycylji, ale niebawem znudził się jej Włoch, zamieniła go na Brazylijczyka i jego wkrótce zdradziła dla pięknego Greka. Brazylijczyk odebrał sobie życie. Grek odebrał... klejnoty kapryśnej kochance, ale Fanny Robert niewzruszona śmiercią Brazylijczyka i kradzieżą klejnotów, w dalszym ciągu szerzyła spustoszenie w sercach męskich.

Ostatnie lata swojego życia spędziła na Jasnym Brzegu zawsze wesoła, wytworna, uprawiająca z zapałem sporty i grająca namiętnie w ruletkę.

— Fanny nigdy się nie zestarzeje — mówiono z podziwem.

Niedawno piękna Angielka zmarła. Krótka notatka dziennikarska była jej jedynym nekrologiem. Czy życie straciło już dla niej wszystkie wartości, czy też sprzykrzyła się jej mozolna walka o młodość, niewiadomo.

A może spotkała się z prawdziwą miłością na schyłku swojego życia?

Najodważniejsza kobieta świata

Jest nią Tytayna, z pochodzenia Francuska, drobna, niepozorna dziewczyna, córka oficera. Rodzice marzyli, aby wyszła za mąż i prowadziła spokojne, unormowane życie mieszczki, ale Tytaynę od najmłodszych lat dręczył głód przygód i wrażeń.

Postanowiła zostać dziennikarką.

Początki były ciężkie. Nie było mowy o dalekich podróżach, nadzwyczajnych przygodach. Na szczęście pomógł jej przypadek.

W tym czasie do Paryża przybyła para książąt japońskich i Tytayna zaproponowała swoje usługi w charakterze damy do towarzystwa. Księżna zgodziła się, ale podczas pierwszej wycieczki samochodowej, wóz rozbił się, książe się zabił, a jego małżonka i jej dama do towarzystwa odniosły ciężkie rany. Gdy po dojściu do zdrowia lekarze oświadczyli, że Tytaynie najlepiej zrobi Karlsbad, młoda dziennikarka postanowiła odbyć podróż samolotem.

Pierwszy lot oszołomił ją. Po powrocie do Paryża zaczęła się szkolić uzyskała dyplom pilotki i nabyła własny aparat, który umożliwił jej zrealizowanie najwspanialszych przygód.

Teraz dopiero nazwisko jej stało się sławne. Tytayna stała się najlepszą dziennikarką, której zawsze udawało się dokonywanie sensacyjnych reportaży.

Zaburzenia w Hiszpanji, Tytayna leci do Madrytu i dokonywa wywiadu z królem. Podczas wojny marokańskiej, leci w głąb Afryki i zdobywa wywiad z Ab-Del-Krimem. To nic, że po drodze strzelano do niej, że chciano ją potraktować jak szpiega. Dzielnej dziewczynie udało się zawsze wyjść cało z opresji.

Tytayna podróżuje zawsze samolotem. Z ręką na drążku nie lęka się zapuszczać w jaknajdalsze kraje. Niedawno z polecenia redakcji poleciała do Turcji, celem zrobienia wywiadu z Kemalem Paszą. W drodze samolot zajął się, a Tytayna i jej mechanik zmuszeni byli wyskoczyć na spadochronach. Wyszli z opresji cało, ale przez dłuższy czas walczyli z falami morskiemi (wpadli do morza) zanim wreszcie wylądowali na bezludnej wyspie, gdzie dopiero po kilku dniach zabrał ich przejeżdżający statek.

Wywiad z Kemalem Paszą, jako przedawniony, nie ukazał się na łamach dziennika, ale Tytayna przeżyła znowu nową przygodę.

A o te niezwykłej dziewczynie najbardziej idzie...

Kształcenie żon oficerów sowieckich

Nie do pozazdroszczenia jest obecnie los żon oficerów sowieckiego sztabu generalnego. Stosownie do ostatnio wydanego zarządzenia, plan kształcenia oficerów uwzględnia przymusowe dokształcanie ich żon.

Rozporządzenie to posiada o wiele głębsze przyczyny niż możnaby przypuszczać. Oto szybki awans oficerów, pochodzenia proletarjackiego, pociągnął za sobą masowy wzrost rozwodów, które wypływają z zaniku duchowej harmonji między kobietami, pochodzącemi przeważnie z ludu i nie posiadającemi żadnego wykształcenia, a ich mężami, których awans pociągnął za sobą przymusowe dokształcenie.

Zarząd polityczny armji sowieckiej stoi na stanowisku, że korpus oficerski winien świecić przykładem wzorowego współżycia małżeńskiego, zdawać sobie sprawę z ważności rodziny, a nie zdobywać rekordy rozwodowe.

„Czerwona Gwiazda", oficjalny organ sowieckiego komisarjatu wojny, uderzył na alarm. Rozwody wśród oficerów muszą się zmniejszyć!

I wówczas okazało się, że różnice poziomów intelektualnych między świeżo mianowanemi dygnitarzami i ich żonami, stanowią rozdźwięk, uniemożliwiający spokojne, zgodne współżycie, o które tak zabiega polityczny zarząd armji.

Celem ratowania instytucji małżeńskiej, żony wyższych oficerów muszą spowrotem zasiąść na ławie szkolnej!

Angielskie speakerki telewizyjne

Długo borykał się Londyn z trudnościami znalezienia odpowiedniej speakerki telewizyjnej. Oferty napływały w niebywałej ilości, ale nie można było natrafić na odpowiednią kandydatkę.

Bo i wymagania były bardzo duże: ładny i sympatyczny głos, wyraźna dykcja, fotogeniczność i miła powierzchowność.

Pensja speakerki usprawiedliwiała w zupełności niezwykły napływ ofert. 250 funt. ang. rocznie (600 zł. miesięcznie) nie jest pensją do pogardzenia, szczególniej w ciężkich czasach bezrobocia.

I wreszcie speakerkę wybrano. Nie jedną, lecz dwie. 23-letnią Miss Jasmine Bligh i jej rówieśnicę, Miss Elisabeth Cowell.

Miss Jasmine Bligh pochodzi z arystokracji angielskiej i zwycięsko wyszła z trudnego egzaminu na speakerkę telewizyjną. To samo da się powiedzieć o jej przyjaciółce, Miss Elisabeth Cowell.

Argus

WOJENKO WOJENKO....

KARTKI Z PAMIĘTNIKA MATKI

Wszyscy widocznie uważali, że już dość współczucia i zrozumienia nam okzali. Wszystkim sprzykrzyła się ta asmosfera, przygłuszająca wrodzoną wesołość i zdrowy instynkt życiowy. Wszyscy zapragnęli odetchnąć beztrosko, jakgdyby nic zupełnie się nie stało. To, co w nich dokonywało się w ciągu kilku lat, zrozumiałam teraz w jednej chwili i odtąd, jeżeli ktoś nawykiem jeszcze przesiąknięty wtrącił współczujące zdanie, poświęcone pamięci tego, który na zawsze od nas odszedł, zmieniałam niezwłocznie temat rozmowy. Zmieniałam tak niezmiennie i tak gorliwie, że wkońcu zaprzestano i tych wzmianek, które litościwie rzucano cieniom Tadzika. Zmusiłam ich do milczenia. Odtąd miłych i pogodnych zebrań, wesołych rozmów i niewinnych przekomarzań, nie mąciło już nigdy głośno wypowiedziane imię Tadzika.

— — — — — — — — — —

Dnia tego po odejściu gości, gdy zostaliśmy sami z Marcinem, niemy wyrzut, który Marcin od rana czytał w mych oczach, wyrwał mu z ust słowa:

— Marto, zrobiłem ci dziś przykrość. Nazywaliśmy go Tadeuszkiem tylko dlatego, że było ich dwóch, sądziłem, że nie potrzeba teraz gdy Tadzika...

Nie pozwoliłam mu dokończyć ,,nie ma'', kładąc palce na jego usta powiedziałam: — Cicho Marcinie, teraz więcej, niż kiedykolwiek. —

ROZDZIAŁ VIII.

W kilka lat później, pewnego grudniowego popołudnia przyszła do mnie Madzia. Przyszła mnie poprosić, bym trzymała do chrztu jej syna. Naturalnie że przyrzekłam jej. Marcin był wzruszony i mówił, że to ładnie z jej strony. Ja myślę, że było to okrutnie i że Madzia nie powinna mnie była o to prosić. Wyrozumiałam ją, że pragnąć mogła innego mężczyzny. Madzia była młoda i wiedziałam, że nie może przez życie przejść samotnie. To też gdy kilka lat temu brała ślub z Antonim Mareckim nie czułam do niej żalu, że została żoną innego. Wiedziałam, że mówiła wówczas prawdę, że Tadzika nie zapomniała. Nie mogłam jej jednak teraz darować, że pragnęła z innym mieć dziecko. Zrozumiałam, że wbrew śmierci tamtej zapoczątkowuje się nowe życie i nowe szczęście. Wiedziałam, że teraz Madzia zapomniała. Widziałam, jak na każdem miejscu wszędzie lukę, którą zostawił Tadzik, wypełniał ktoś inny i widząc, jak na gruzach jego życia, budzi się życie nowe, pomyślałam, że na cmentarzach także rośliny puszczają nowe pędy i kwitną co roku. A jednak nie mogłam Madzi darować. Wiem, że lat już wiele Tadzik spoczywa na prawosławnym cmentarzu pod Kaniowem, wiem, że w pułku, w sercu Madzi, słowem wszędzie, miejsce Tadzika zajął ktoś inny, a jednak dla mnie jednej nie zmieniło się nic od momentu, w którym usłyszałam słowa dowódcy: — Pochowaliśmy ich obydwóch w tej wiosce, na prawosławnym cmentarzu.

Rozumiejąc, że właśnie tak być musi i że nade mną jedną tylko czas stracił swą władzę i zegar mego życia zatrzymał na godzinie, która wydzwoniła odejście Tadzika, dziwiłam się jednocześnie, że Tadzik, który tak niedawno jeszcze tyle miejsca w życiu zajmował, dziś jest tylko wspomnieniem i dziś za to wspomnienie, którem go ktoś darzy, powinnam być jeszcze wdzięczna. Ale nie jestem. I jak Marcin jest wzruszony, że Madzia synka swego ochrzci imieniem Tadzika, ja tego samego nie mogę jej darować. Im więcej Marcin wdzięczny jest za pamięć o Tadziku, tem większy ja czuję żal do niej. Nie mogę jej darować, że Tadzik w życiu jej jest czemś, co było, a czego niema obecnie, że miejsce jego jest w przeszłości tylko i choćby było wspomnieniem najdroższem, nie mogę przebaczyć, że jest tylko wspomnieniem.

A przecież naprawdę przebaczyłam już dawno. Przebaczyłam i nawet usiłuję zrozumieć to, nie jako uchybienie wobec śmierci tamtej, lecz jako konieczność życia tych wszystkich, którzy pozostali. Może mi Pan Bóg da tę łaskę, że nauczę się tak pojmować i w pokorze daruję to szczęście innym, które ominęło Tadzika. Wiem tylko jedno, że nie nauczę się nigdy, tak jak Marcin, być wdzięczną za tę pamięć, jaką ktokolwiekby miał dla Tadzika. Jeżeli daruję komukolwiek to, że ma właśnie tylko pamięć, to uczynię już więcej, niż Marcin, który jest wdzięczny. I stokroć bardziej, niż Marcin, ukorzę się pod moim krzyżem.

ROZDZIAŁ IX.

Tak długo nie miałam spokoju, dopóki nie byłam na grobie Tadzika. Musiałam go odnaleźć, musiałam tam być. Czułam całą niemożliwość, by uklęknąć na cmentarzu pod Kaniowem, gdzie leży Tadzik, a jednak odczuwałam taką konieczność znalezienia się w miejscu, gdziebym odczuła bezpośredni kontakt z Tadzikiem, gdziebym odczuła jego istotę bezpośrednio bliską, a nie zawsze gdzieś w zaświatach, że musiałam miejsce takie odnaleźć. Nie kochałabym Tadzika tak, jak go kocham, gdybym nie wiedziała, że miejsca takiego nie znajdę. I znalazłam. Pewnego jesiennego, słotnego dnia stanęłam przed kratą grobowca. Uklękłam nad jego grobem. O kilka metrów ode mnie leżał Tadzik. leżała jego jasna głowa, jego wysmukłe ciało, całe pokaleczone. W tej chwili odczułam bezpośrednią bliskość Tadzika, zdawało mi się, że wystarczy wyciągnąć rękę by dotknąć jego jasnej głowy. Dla mnie jednej ten grób, przy którym klęczałam, nie był grobem Nieznanego Żołnierza, lecz grobem Tadzika. Czułam to tak wyraźnie, czułam to po nagłem umilknięciu opętańczego krzyku tęsknoty, który słyszałam ciągle od tylu, tylu lat. Tadzik spoczywał przy mnie. Wszystko we mnie ucichło, nie pragnęłam już odnaleźć innego grobu, bo zrozumiałam, że tu właśnie, tu na Placu Saskim, w samem sercu kraju, w tym dostojnym grobowcu, przed którym chylą się wszystkie głowy, w tej trumnie, którą nieśli żołnierze odznaczeni Virtuti Militari i za którą z odkrytą głową szły najwyższe władze kraju, tu właśnie spoczywa naprawdę Tadzik, tu, a nie tam, na prawosławnym cmentarzu gdzieś w wiosce pod Kaniowem.

I gdy klęczałam, mając Tadzika tak blisko, tak bardzo blisko, po raz pierwszy się rozpłakałam. Płakałam bardzo długo, bo wiem, że gdy z mego płaczu wyrwał mnie czyjś głos i podniosłam głowę na Placu Saskim paliły się już światła. Przy mnie stał jakiś nieznajomy mężczyzna i pochylając się odezwał się: — Niech pani tak nie płacze, niech pani się uspokoi, ja panią odwiozę do domu.

Spojrzałam na niego i prawie spokojnie odpowiedziałam:—Niech mnie pan zostawi, mnie tu jest dobrze. —

Potem jeszcze klęczałam długo, ale nie płakałam już więcej. Uspokoiłam się zwolna i poczęłam myśleć, że Bóg zesłał na mnie, ten krzyż jako pokutę ,za winy popełnione świadomie i nieświadomie i myślałam jeszcze, że dopóki buntowałam się na mój krzyż Pan nie mógł go przyjąć i do brzemienia win moich dorzucałam winę nową. Więc teraz całując w pokorze krzyż, prosiłam Boga by go przyjął jako pokutę i nie kazał mi czekać dłużej, lecz zabrał tam, gdzie jest Tadzik.

ROZDZIAŁ X.

Przed chwilą wstaliśmy z Marcinem od wilji. Dwunasta to dziś wilja od śmierci naszego chłopca. Marcin od tego czasu postarzał się bardzo. Siedząc dziś przy stole, nakrytym białym obrusem, gdy wejrzałam na jego głowę, oświetloną kręgiem palącej lampy zauważyłam poraz pierwszy, że dawny silny Marcin zmienił się w zniedołężniałego staruszka.

Po wilji, jak zwykle już od pierwszej przed laty dwunastu przyszła Madzia podzielić się z nami opłatkiem i przyniosła w koszyczku wspaniałych, czerwonych jabłek. Wniosła ze sobą krąg świeżego, zimnego powietrza i powiew rzeźkiej młodości. Była jasna jak zawsze i promienna, piękniejsza może nawet, niż dawniej, przyszła z synkiem, lecz długo u nas nie zabawiła, gdyż śpieszyła do męża i domu. Marcin był smutniejszy, niż kiedykolwiek. Z chłopcem się nie przekomarzał i z Madzią ledwie kilka słów zamienił. Gdy odeszli, a my z Marcinem wstaliśmy od stołu, podeszłam do okna i oparłam czoło o zamarzniętą szybę. Śnieg spadł wysoki, białą, grubą powłoką okrywał cały ogród. Gdzie okiem było sięgnąć we wszystkich oknach domków, rozrzuconych, paliło się światło. Domostwo Madzi, położone na wzgórzu, widniało zdaleka najwyraźniej i widziałam dokładnie, płonące jakoby, szyby wszystkich frontowych okien. Zapatrzyłam się w ten dom oświetlony na tle ciemnych świerków, dom ciepły i przytulny pod zimowem, gwiazdami wyiskrzonem, niebem. Nagle uczułam na ramieniu ciężką rękę Marcina. Stał zgarbiony przy mnie i zaczął mówić starym, wzruszonym głosem:

— Marto, myślę, że biedniejsza jesteś odemnie i że jeszcze jedno rozstanie, które nas czeka, tobie przypadnie w udziale, bo ja pierwszy odejdę. Czuję się bardzo zmęczony i chory, wszystko mnie boli, nie mogę chodzić po lesie jak dawniej, męczy mnie nawet droga na wzgórek. Zostaniesz zupełnie sama, niedługo już, Marto. — Zadyszał się mocno, a po chwili mówił dalej: — Marto, wiem, że kochałaś Tadeusza więcej ode mnie. Wiem o tem Marto, dlatego straciłaś więcej ode mnie. Gdy straciliśmy Tadeusza, mnie jeszcze ty pozostałaś, a ty wraz z nim straciłaś wszystko. Wiedziałem o tem zawsze, Marto. —

Spojrzałam na Marcina, zobaczyłam jego prawe, zawsze wierne oczy i pomyślałam, jak często wyrzucałam Bogu, dla czego nie zabrał jego, a nie zostawił mi Tadzika. Zrozumiałam, że ten niemy wyrzut odczuwał Marcin przez wszystkich lat dwanaście, przez które w bólu moim odgraniczyłam się tak bardzo od niego. Uczułam, jak bardzo starzy i znękani jesteśmy oboje. W tej chwili darowałam Marcinowi jego przywiązanie do Tadeuszka, jego tkliwość dla Madzi i jej synka. Darowałam mu to w zrozumieniu, że w samotności cierpiał także, choć cierpienie jego inaczej, niż u mnie przejawiało się w życiu. W tej chwili odczułam poraz pierwszy, że ten krzyż, który Bóg nam zesłał byłby lżejszy, gdybyśmy go byli nieśli oboje razem. Dotychczas każde z nas niosło go z osobna i podwajało ciężar, który i tak przerastał nasze siły. Oparłam głowę na ramieniu Marcina i wyszeptałam: — Marcinie, mój biedny stary Marcinie, którekolwiek z nas pierwsze odejdzie niezadługo już każe drugiemu czekać.

I rozpłakaliśmy się oboje.

Marcin siedzi w fotelu przed kominkiem. Pali długą fajkę. Przez otwatre drzwi widzę jego starą, zacną głowę i długie nogi, wyciągnięte w stronę ognia. W tej chwili zegar zadzwonił trzy razy. Wiem, że za chwilę wstanie Marcin, podejdzie do mnie, i odezwie się:

— Marto, za kwadrans dwunasta, pora nam iść na pasterkę. —

Koniec.

WIADOMOŚCI RADJOWE

TYSIĄC CENNYCH NAGRÓD

Do wszystkich argumentów, tak zachęcających do słuchania radja w okresie letnim, przybywa nowy i to nie do pogardzenia: 1.000 cennych nagród, które wygrać można na wielkim letnim konkursie radjowym w czasie od 1 czerwca do 31 sierpnia r. b. Jakżeż niewiele trzeba wysiłku, by móc wziąć udział w tym pełnym nieprawdopodobnych niespodzianek, konkursie!

Wystarczy — jak to już donosiła prasa codzienna — *nadesłać karteczkę do Polskiego Radja z podaniem dnia, godziny i minuty specjalnej audycji propagandowej*, która będzie miała miejsce w ramach wystawy przemysłu metalowego i elektrotechnicznego w czasie od 16 do 30.IX r. b. w godzinach popołudniowych.

Należy przeniknąć wzrokiem jasnowidza ściany ogniotrwałej kasy notarjalnej, w której spoczywa w zalakowanej kopercie rozstrzygnięcie tej zagadki. Koperta ta zostanie wydobyta na światło dzienne, dopiero po zamknięciu konkursu, którego wynik będzie ogłoszony za pośrednictwem prasy i radja.

Jeden warunek jest obowiązujący: *prawo udziału mogą mieć tylko ci, którzy w czasie trzech miesięcy letnich — w czerwcu, lipcu i sierpniu pozostaną radju wierni jako abonenci.*

Odpowiedzi *tylko* na kartkach pocztowych i *tylko* za pośrednictwem poczty nadsyłać należy pod adresem: Polskie Radjo, Warszawa, Mazowiecka 5, z dopiskiem: „Letni Konkurs Polskiego Radja" w terminie od 1.VI do 31.VII b. r. Oczywiście, na karcie musi być podany numer zezwolenia radjowego i nazwa urzędu pocztowego, w którym zarejestrowano aparat radjowy.

Luksusowy samochód, wycieczki na dalekie morza, do Ziemi Świętej, wspaniałe radjoaparaty, pobyty w uzdrowiskach krajowych, bezpłatne bilety teatralne, rowery, książki, aparaty fotograficzne, papierośnice, zegarki, narzędzia rolnicze, sprzęt sportowy, płyty gramofonowe, wyroby perfumeryjne oraz wiele innych cennych przedmiotów ogólnej wartości 25.000 złotych, czeka na szczęśliwych zwycięzców tego oryginalnego konkursu.

A więc — radjosłuchacze—uwaga: zapraszamy do przeniknięcia tajemnicy wrześniowej, do wzięcia udziału w konkursie radjowym!

RADJO ODNAJDUJE ZAGUBIONE DZIECKO...

Nieraz słyszymy przez radjo komunikat, w którym zrozpaczeni rodzice komunikują o samowolnem wydaleniu się lub zaginięciu dzieci, błagając o wiadomość o zaginionych.

Przeważnie dotąd bywają to chłopcy, których wrodzona przedsiębiorczość gna na poszukiwanie przygód. Ostatnio wydalił się z domu i zginął bez wieści 14-letni uczeń jednego z gimnazjów warszawskich, niejaki T. S. Od maja nie było o nim wiadomości.

W godzinach popołudnowych, w kilka dni potem, Polskie Radjo nadało komunikat o nieszczęśliwym wypadku.. Komunikatu tego wysłuchał przypadkowo kierownik tartaku pod Wyszogrodem. W tej chwili wszedł do jego mieszkania obcy, zdrożony chłopiec. Zapytany o nazwisko, podał to

właśnie, które dopiero co speaker ogłaszał przez mikrofon.

Wobec tego dziwnego zbiegu przypadków, właściciel tartaku zajął się malcem i dostawił go z powrotem do domu. Można sobie wyobrazić radość zrozpaczonych rodziców, gdy ujrzeli znów swe zagubione dziecko, zdrowe i całe.

Jak widzimy więc — radjo raz jeszcze oddało nieocenioną przysługę społeczną, odnajdując żądnego przygód chłopaka, który być może popadłby w nielada tarapaty, gdyby się nim dobrzy ludzie nie zajęli na skutek wezwania usłyszanego przez radjo.

SZLAKIEM POŁUDNIA



Cała ta podróż „Batorego" szlakiem południa, którą przeżywam już retrospektywnie w mojem mieszkaniu, zdaje mi się teraz czemś wprost nieprawdopodobnem w tem swojem oderwaniu od codziennego życia. Trzy tygodnie na morzach, na oceanie, w krajach zamorskich i portach dalekiego świata, minęły jak sen! To był albo sen, albo podróż w nieznane, tak podobna do snu.

Są jeszcze, oprócz snu, książki — książki — podróże, które czytać można między obiadem a kolacją, albo przed zaśnięciem — książki o Chinach, Japonji o południowej Ameryce, o Australji, o wyspach mórz południowych, o Afryce. Conrad. London — nasz polski Fiedler, książki w papierowych okładkach, oprawione w szare płótno albo w ciemny zamsz. I nagle stało się tak, że to nie sen, nie książka — ale żółty bilet okrętowy Linji Gdynia—Ameryka dał nam klucz zaczarowany.

Otworzyły się granice państw, ciemną, niebieską falą uderzyły morza i poniosły prawdziwy polski statek w prawdziwą podróż.

Poza sobą zostawiliśmy nasze mieszkania, nasze sprawy dnia codziennego, wyruszyliśmy w pogoń za słońcem. Dnia 19 kwietnia pociągiem wieczornym via Wiedeń (gdzie orkiestra powitała nas hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła") wyruszyliśmy do Trjestu. Ciekawa atmosfery Włoch w przededniu zwycięstwa, rozglądam się po mieście. Z twarzy ludzi, z ruchu ulicznego, z mowy i spojrzeń szarego tłumu chcę wyciągnąć jakieś zdecydowane wnioski. W ten szary, chłodny dzień, padał deszcz i ludzie byli zupełnie tacy sami jak u nas (a my przecież nie zdobyliśmy Abisynji). Usiadłam w małej kawiarni naprzeciw rynku kwiatowego i patrzałam kto i jakie kwiaty kupi. Kwiaty były śliczne i bogatsze od naszych, zdumiewały przedewszystkiem glicynje, blado niebieskie i lila, poetyczne i pełne wdzięku — jakby wydarte z ram oktostychu, — tulipany o postrzępionych końcach, czerwone z żółtym płomieniem, skupione w żarliwej namiętności, echo sonetów Dantego, a kupowały te kwiaty takie same jak u nas dziewczęta i kobiety. Tak jak i u nas podchodziły, zdaleka się już uśmiechając, potem wolno i rozważnie wybierały (wiem o czem myślały: te na długich łodygach włożę do wysokiego wazonu — dobrze będzie wyglądała czerwona plama w mojej sypialni — te krótsze o zwieszających się pędach ułożę w okrągłej kuli na stole). Abisynja i zwycięstwo nie zmienia widocznie kobiet, kupujących kwiaty.

W stoczni wojennej spuszczali na morze krążownik „Giuseppe Garibaldi". Były trybuny i dużo faszystów i tłumy ludzi i dzieci w czarnych koszulkach i trójkątnych chusteczkach na szyi. Grali „Giovinezzę", chrzcząc okręt stłukli butelkę szampana, a kiedy krążownik wolno wypłynął na morze — zobaczyliśmy wielki plakat: — głowa „il duce" w szerokim uśmiechu pokazywała śliczne zdrowe zęby. Od chwili ujrzenia tych zębów wszystko zdawało mi się symboliczne. I wiatr, który nagle chłodno powiał na trybuny i gęsty deszcz, chłoszczący nam twarze. Patrzałam, zdjęta podziwem na twarz na plakacie. Mussolini śmiał się i ciągle pokazywał zęby — aż tu nagle wiatr przeszedł w silny podmuch, aż jęknęły drzewca trybun. „Garibaldi" pognał już sobie i plakat z głową wodza pękł rozdarty od wichru, a moim przerażonym oczom ukazał się już tylko dziwaczny trójkąt na miejscu poprzedniego plakatu... Nie trzeba widzieć symboli tam, gdzie jest zwykła sprawa natury i przypadku.

A potem weszłam poraz pierwszy na pokład „Batorego". „Batory", zbudowany w stoczni w Monfalcone, jest rzeczywiście ostatnim wyrazem techniki i luksusu. Kabiny wygodne, w każdej umywalnia z ciepłą i zimną wodą, łazienka, sale jadalne, sale dancingowe, wielka sala balowa, holle, czytelnia, trzy bary, pokój dziecięcy, pokłady: słoneczny, łodziowy i spacerowy; chłodnie elektryczne, spiżarnie, basen, sala gimnastyczna pełna najlepszych przyrządów, nie wyłączając elektrycznego konia. I na tym cudownym luksusowym statku spędzę 3 tygodnie, płynąc po najcudowniejszych morzach, oglądając kraje znane tylko z książek i obrazków. Popłynę przez Gibraltar do samej Afryki i tam przekonam się, czy naprawdę jest tak jak podróżnicy piszą!

Żegnani ślicznemi wiązankami goździków i róż z życzeniami szczęśliwej podróży od dyrekcji Orbisu, „Batorzanie" rozpoczęli swą wędrówkę po morzu. Wieczorem dnia tego (21 kwietnia), wielu z naszych podróżników, cierpiąc dotkliwe męki choroby morskiej, przeklinało w duchu niezdrową ciekawość, która ich wypędziła z domu, to też marzyli tylko o stałym lądzie pod nogami. Bujało... Siedząc w jadalni odczuwało się nagłe skoki serca, widziało się przerażonemi oczy ma to pół nieba w oknach. to znowu samo morze bez horyzontu. Niektórzy ratowali się „pigułkami" nabytemi w Wiedniu i Trjeście — inni, leżąc nawznak na swoich łóżkach, wymyślali na złą budowę statku — jeszcze inni, do których i ja się zaliczałam, wypijali w barze koniaki twierdząc, że alkohol, a przedewszystkiem koniak, potrafi nawet „Batorego" udobruchać.

Bujało... czułam niepokój — nie bałam się choroby (w moich poprzednich podróżach morskich nigdy nie chorowałam), ale to coraz gwałtowniejsze huśtanie dla człowieka, który oddawna nie uprawia huśtawki, jest jakoś niewyraźne — jesteśmy nikczemnemi szczurami lądowemi i nawet porządnie podczas kołysania statku chodziś nie umiemy, to ciągłe zataczanie się, niepewność nóg, płochliwość ciała właściwego obraża poczucie własnej godności. Trzeba chodzić szeroko rozstawiając nogi, trzeba się uginać w kolanach w rytm ruchu statku, a przedewszystkiem — z uśmiechem i bez tremy. Spróbujmy.

Najlepszy towarzysz podróży, czarujący Arkady Fiedler (ten od rybek śpiewających w Ukajali), nalewa mi świeżą porcję whisky.

— Opowiedz mi historję o gilu i gilowej — mówi i staje się tylko cokolwiek bledszy.

Panicznie obawiam się bladości na twarzy towarzysza podróży.

„Artku, wiesz — jesteś w świetnej formie, opowiedz mi więc Ty historję psa w Kanadzie" — proponuję bez przekonania, bo w tej chwili widzę, że Melchjor Wańkowicz, stojący tuż przy barze, robi się nie blady, a zielony. Nie, tego wieczoru ani o gilu, ani o psie w Kanadzie nie będziemy mówili, za bardzo mnie przeraża ich wygląd, wolę iść spać. Dobranoc, może jutro nie będzie tak kołysało...

Z opowiadań o kołysaniu najlepsza jest historja pani Ireny Eichlerówny. Biedaczka cierpiała bardzo w te dnie wzburzonej fali. Któregoś przedpołudnia, leżąc na leżaku, miała za sąsiada pewnego gentlemena, który zabawiał ją właśnie przeżyciami „tejże natury". „Bo, proszę pani, jak wczoraj zaczęło się to bujanie, myślę sobie: aj, Stasinku napij się coprędzej koniaku. Tak ja, dobrodziejko, pędzę do baru i zamawiam koniak, ale ledwom wypił — czuję coś niedobrze — oj, myślę sobie — oj. Stasinku, coś niezupełnie dobrze — proszę pani kochanej — a tu się robię zielony, czuję, że się robię zielony i żółty i ledwom zdążył od burty. Co było dalej, to już pani nie powiem". Pani Irena odrazu domyśliła się, co było dalej — opowiadanie to bawiło nas bardzo i w złych chwilach miało nawet własności zażegnujące.

Na zakończenie tematu o „bujaniu" należy dodać, że po 10 dniach wszyscy, z małemi wyjątkami, przywykli do „bujania" i od Londynu do Gdyni prawie nikt nie chorował.

Z tego wnoszę, że naród nasz ma właściwie w podświadomości coś z narodu żeglarskiego, a z czasem, kiedy Gdynia zupełnie się rozbuduje, kiedy będziemy mieli pięćdziesiąt takich statków jak „Batory", kiedy wszyscy zostaniemy członkami Ligi Morskiej, będziemy już naprawdę zahartowani! *Iza Bell.*

PIA GÓRSKA

Rok 1932 — „Wspomnienia o Chełmońskim" — Pi Górskiej, czytała je zapewne niejedna z nas i niejednej z nas pozostał w pamięci obraz znakomitego malarza, odrysowany ciepłemi pociągnięciami pióra Górskiej.

Majątek Wola Pękoszewska w pow. Skierniewickim, w którym ujrzała światło dzienne Pia Górska, sąsiadował z posiadłością Chełmońskiego.

Artysta często odwiedzał pp. Górskich, z którymi był serdecznie zaprzyjaźniony, a mała Pia pod jego kierunkiem rozpoczęła swoje pierwsze kroki malarskie. Mimo jednak istotnego talentu, Górskiej brakło wytrwałości do poważnego kształcenia się w malarstwie. Przed zamożną, zapewne rozpieszczoną panną, świat ówczesny (Pia Górska urodziła się w r. 1878) skrzył się taką gamą ponęt i rozrywek, że na poważną pracę zabrakło czasu.

Dopiero jako 25-letnia panna Górska przenosi się z matką do Warszawy i tu, odnajdując w sobie powołanie do pedagogiki dziecięcej, kończy szkołę ochroniarską p. Marciszewskiej, i rozpoczyna pracę w ochronach tramwajowych, prowadzonych przez doktorową Werycho-Radziwiłowiczową. Pracy tej oddaje się z zamiłowaniem, a przedmiotem wykładanym przez nią w ochronach jest metodyka religji, niekiedy wykłada także rysunków.

Przy tej pracy zastaje ją wojna. W r. 1915, w chwili wejścia Niemców do Warszawy, powstaje tu zorganizowany przez Polaków, tak zw. Wydział Oświecenia, który powołuje Pię Górską na stanowisko ogólno - ochroniarskiej instruktorki. Górska nie lubi jednak pracy administracyjno-biurowej tak, że już po miesiącu ustępuje zajmowane przez siebie stanowisko p. Radziwiłowiczowej, poświęcając się chwilowo pracy literackiej.

Pisze dla dzieci — wydaje dwie książki — „36 pogadanek religijnych" i „Sługi Boże" (żywoty świętych), potem znowu wraca do pracy w ochronach. Tak trwa do r. 1921. W r. 1921 spędza lato u przyjaciół na wsi i tam spotyka malarza (o nieznanem nazwisku), który zachęca ją do malowania. Trochę z nudów, a trochę przez ciekawość Górska chwyta za pendzel, z którym się już więcej nie rozstaje.



Pia Górska — Trzej królowie.



Pia Górska.

ciła starą szkołę. Obrazy jej rozjaśniły się w barwie coraz śmielszej, a technika malowania nabrała cech współczesnych.

Pia Górska kroczy naprzód, szuka coraz to nowych dróg, a ma przecież dzisiaj 58 lat.

Ostatnio Górska maluje portret kobiecy, a pozatem pisze nową książkę dla dzieci — ale to jeszcze tajemnica.

— Nie wierzę w słowo „niemożliwe" — mówi uśmiechając się.

Siedzimy w przytulnej pracowni artystki. Jej młode, żywe oczy obserwują mnie bacznie — przyszłam zrobić wywiad, nie jestem malarką, co też o niej napiszę?...

Popijamy herbatę, rozmawiamy o tem i o owem — odnalazłyśmy już wspólnych znajomych, świat jest taki mały!

Kiedy wreszcie wypada się pożegnać jest mi prawie przykro, jeszcze wybieram fotografje do reprodukcji. Stoimy na obszernym balkonie, rozglądamy się ciekawie i na chwilę zapominam, że to Warszawa i w dodatku centrum, ul. Pierackiego. Z lewej

Lubiana do niedawna praca oświatowa nuży ją i nudzi. W r. 1921 wstępuje do Szkoły Malarskiej Konrada Krzyżanowskiego w Warszawie, a po jego śmierci, w r. 1922 pragnie się dostać do świeżo powstałej Szkoły Sztuk Pięknych. Z przyjęciem do Szkoły Sztuk Pięknych Górska ma wielkie trudności — liczy przecież wówczas 42 lata i w tym wieku nie waha się w rozpoczęciu nowej drogi życia.

Poparta przez prof. T. Pruszkowskiego, pod którego kierunkiem pracuje, uzyskuje wreszcie pozwolenie Min. Oświaty na wstąpienie do Szkoły, którą po 5 latach kończy z dyplomem.

W r. 1929 urządza pierwszą wystawę w Zachęcie, a w r. 1930 na zaproszenie amerykańskiego instytutu Kornegi wysyła swoje 3 obrazy do Chicago, gdzie otrzymuje dobre recenzje.

Ulubionym tematem obrazów Pi Górskiej jest człowiek w jego psychologicznych przejawach.

Początkowo wzoruje się na kierunku Bractwa Św. Łukasza, jest to stowarzyszenie (męskie) wychowanków prof. Pruszkowskiego, hołdujące starej szkole. W tym okresie częstym tematem obrazów Górskiej są postacie religijne. Od kilku lat Górska porzu-

Pia Górska — Dziewczyna.





Pia Górska — Dzieci.

strony wspaniały ogród pełen kwitnących bzów, z prawej tarasy ambasady japońskiej do równie pięknego zaglądają ogrodu. Pod nami kasztany, przed nami kasztany — jak tu ślicznie!

Ale czas już na mnie, dziękuje p. Górskiej za miłą rozmowę, wrażeniami której dzielę się z Czytelniczkami.

Już na schodach dogania mnie służąca — Zapomniała pani ołówka Zły czy dobry omen? Chyba dobry...

Przed bramą zatrzymuję się jeszcze i podnoszę głowę — na balkonie stoi p. Pia Górska i przesyła mi dłonią pozdrowienia — kobieta, która nie wierzy w słowo „niemożliwe" i która własnem życiem i pracą dowiodła, że nigdy nie jest zapóźno.

Janina Radkowska.

PRZEŻYCIE PANA TOMASZA

(NOWELA)

Pan Tomasz, człowiek czterdziestoletni, właściciel majątku ziemskiego, z wykształcenia agronom, z przekonań arystokrata, z przyzwyczajenia kawaler, a z zapatrywań konserwatysta, był chlubą całego Słonima i wsi okolicznych.

Człowiek ten miał jedyną namiętność: gazety i pięknie ilustrowane czasopisma, poza tem żywił istny kult dla swej osoby. Pana Tomasza uważano za dziwaka i oryginała.

Życie na prowincji, jałowe i smutne, pozbawione atrakcyj i rozrywek, uczyniło z niego wiecznie niezadowolonego sceptyka. Niezadowolenie było jego symbolem. Niezadowolenie z sąsiedztwa i rządów z uprawy zbóż i mody męskiej, z pogody i nowych prądów literackich. Piorunował na radja i kina dźwiękowe, jazz był dla niego uosobieniem rozpusty, a Pitigrilli największym zbrodniarzem.

Pan Tomasz był człowiekiem elokwentnym, lecz nigdy jego krasomówczość nie nabierała tyle siły i mocy, jak wtedy, gdy mówił o dzisiejszej młodzieży. Wtedy istne lawiny zgryźliwych słów wypływały z pod wąsatych warg Pana Tomasza, a przedziwne potoki wymysłów padały na młodą generację. O, Pan Tomasz znał tych gołowąsów i te zwarjowane garsonki, współczesne panny o krótkich włosach i wyskubanych brwiach. Te niby emancypantki i studentki. To też czuł dla tych istot nienawiść, zaprawioną pogardą. Wszystkie młode panny, stenotypistki i modelki, girlsy i dekoratorki, manicurzystki i malarki, były dla niego czemś nieczystem i złem. Odmawiał im nawet prawa człowieczeństwa mówiąc, że to tylko fijołki ma w głowie i że wogóle to tylko „Fiu-Bździu".

„Fiu-Bździu", było terminem, określającym to wszystko, co ma współczesne czyli niezdrowe tendencje.

By poznać dokładniej osobę Pana Tomasza, muszę nadmienić o trybie jego życia. Otóż Pan Tomasz w godzinach rannych doglądał pracy gospodarskiej czyli wszystkich ganił i na wszystko zrzędził. Następne godziny poświęcał obowiązkom towarzyskim, polegającym na grze w preferansa z proboszczem i panią aptekarzową. Wieczorami oddawał się lekturze. Czytanie było istnym obrządkiem, zaczynającym się od przetarcia okularów fularową chustką, a kończącym głośnem westchnieniem i kwiecistym wywodem na temat „za moich czasów... inaczej było". Pan Tomasz był pedantem i człowiekiem skrupulatnym. Zawsze coś majstrował, reparował i udoskonalał. Naturalnie na swój sposób!

Pewnego dnia zepsuła się stara młockarnia. Pan Tomasz pragnął doprowadzić ją do porządku lecz niestety wszystkie wysiłki spełzły na niczem. Młockarnia była popsuta i starem żelastwem urągała niewiedzy pana Tomasza. Zdenerwowany i zniechęcony, postanowił pojechać do stolicy kupić młodą młockarnię, tegoż samego, naturalnie starego typu. Pan Tomasz wybierał się do Warszawy!

Od dwóch lat blisko nie opuszczał Słonima, to też podróż ta była dla niego wypadkiem bardzo ważnym i ryzykownym. Ryzykownym, gdyż Pan Tomasz nie wyobrażał sobie codziennych zajęć gospodarskich pozbawionych jego pieczy i światłych rad.

Wreszcie poleciwszy rządcy pieczę nad majątkiem, ruszył do Warszawy.

Warszawa olśniła go swą wielkością i rozmachem. Taksówki i tramwaje, autobusy i dorożki, gwar wielkomiejski ogłuszyły go swą siłą i rytmem. Wspaniałe reklamy świetlne i piękne wystawy sklepowe, rozkołysany i śpieszący tłum wydał się Panu Tomaszowi zjawiskiem, nieomal kinematograficznem. Po pierwszem wrażeniu, krytyczny umysł Pana Tomasza zaczął jak gdyby funkcjonować...

I tak zaczął dostrzegać powoli, a następnie z wielką szybkością, że ta Warszawa, którą widzi teraz, jest inna od tej, którą znał dawniej. Ta dzisiejsza była zmodernizowana i jako taka wyrugowana z jego serca. Pan Tomasz rozglądał się ciekawie i dostrzegał obecnie same „Fiu-Bździu".

Przedewszytskiem kobiety! Szczupłe i wymalowane, śpieszące i roztrącające spokojnych przechodniów były dla Pana Tomasza elementem destrukcyjnym i niezdrowym.

Błądząc i chodząc po wyasfaltowanej Marszałkowskiej pan Tomasz ujrzał nagle starszego jegomościa, który w chwilę potem znalazł się w szerokim uścisku Pana Tomasza. Pan Andrzej, gdyż tak się zwał spotkany przyjaciel, ofiarował się za przewodnika i dwaj panowie rozpromienieni i zadowoleni żywo rozprawiali o dzisiejszem zepsuciu.

Pan Andrzej wysłuchał trosk pana Tomasza. Pan Tomasz udzielał rad panu Andrzejowi i zwierzał się z kłopotów gospodarskich. Opowiadał, że pragnie kupić nową młockarnię. Pan Andrzej, jako lepiej znający Warszawę był wielce pomocny staremu kompanowi. Gdy wreszcie ubito targu i kupiono młockarnię, dwaj panowie postanowili oblać okazję. Pan Andrzej zaciągnął Pana Tomasza do restauracji z produkcjami artystycznemi.

..I tutaj zaczyna się historja małej girlsy, wielkiej „Fiu-Bździu", która między jedną piosenką a drugą spostrzegła pana Tomasza.

Mała girlsa miała ciemne krótko ostrzyżone włosy i dwoje żywych figlarnych oczu. Śmiała się dużo i nuciła znane, bulwarowe piosenki. Była wdzięczna i niezmiernie sympatyczna-

Przypadek chciał, że pan Tomasz znalazł się w restauracji. W dużej jasno oświetlonej sali, w atmosferze dymu i zapachu potraw, przy małym stoliku zasiedli dwaj panowie. Pan Andrzej i pan Tomasz. Pierwszy znał ten lokal i czuł się jak u siebie w domu. Pan Tomasz był markotny i trochę zażenowany. Dźwięki orkiestry, towarzyszące „bezwstydnym" produkcjom tanecznym były dla niego dziwnie przykre, wprost uciążliwe. Para ekscentrycznych tancerzy wprawiała w zachwyt przedziwną ekwilibrystyką i karkołomną gimnastyką... Lecz to pana Tomasza nie rozbroiło.

Po chwili para tancerzy ustąpiła z estrady... Pan Tomasz popijał piwo, rozprawiał o holenderskiem bydle i reformie rolnej. Nagle głosik wdzięczny i miły przerwał jego rozważania. Oburzony podniósł głowę i ujrzał dwoje oczu patrzących w jego stronę z figlarną natarczywością. Mała girlsa śpiewała i tańczyła szybko przebierając bosemi nóżkami.

Pan Tomasz poprostu znieruchomiał!

Po chwili zmarszczył brwi, obejrzał małą tancerkę od stóp do głów i głosem nacechowanym pogardą mruknął — „Fiu-Bździu".

Roześmiana „Fiu-Bździu" skończyła śpiewać. Z filuterną minką wstrząsnęła czupryną, przypudrowała policzki, zaczęła wędrówkę między stolikami. Witały ją uśmiechy, przyjazne słowa. Koło stolika pana Tomasza zatrzymała się. Z czarującym uśmiechem wyjęła kwiatek ze swego bukietu, włożyła go w duże ręce zdumionego pana Tomasza i po chwili zniknęła.

Przez ten czas z panem Tomaszem działo się coś dziwnego. Miotały nim najrozmaitsze sprzeczne z sobą uczucia. Niechęć ku tej wyfiokowanej walczyła z zainteresowaniem i pewnem zdziwieniem. Nawet roztkliwieniem. Poprostu miło mu było, że mała tancerka obdarowała go kwiatkiem. Jego, któremu nikt nigdy nie okazywał najmniejszego zainteresowania. Miał wrażenie, że ktoś mu wyrządził wiele dobrego. Rozsądek mówił mu, że to tylko zwykła kokieterja i pustota, lecz niemniej czuł, że coś się w nim obudziło. Pan Tomasz stracił humor, naglił do wyjścia. Dwaj panowie opuścili restaurację. W drodze do hotelu pan Tomasz był milczący, pan Andrzej ożywiony i pełen werwy. Dowcipkował, mówił, że pan Tomasz ma niezwykłe szczęście i powodzenie u kobiet.

...Następnego dnia pan Tomasz znów poszedł do restauracji. Czuł się trochę upokorzony. Był zły na samego siebie. Usiadł przy stoliku spoglądając nieustannie na estradę.

Niedługo ukazała się „Fiu-Bździu". Poznała pana Tomasza, kiwnęła mu przyjaźnie głową, a po skończonym występie usiadła przy jego stoliku... Cienkim głosikiem mówiła o swym zawodzie girlsy o koleżankach i gwiazdach filmowych. Skarżyła się na brak czasu, na nędzne zarobki. Panu Tomaszowi, choć się tego wstydził, bardzo żal było tego ślicznego stworzonka. Mówił do niej dobrotliwie, położył nawet swą wielką dłoń na jej małej rączce.

A wokół bawiono się; od stolika do stolika leciały serpentyny i balony. Jazz grzmiał hałaśliwie i nieprzyjemnie. Pan Tomasz powstał. Bolała go głowa, czuł się nieswojo. Pożegnał „Fiu-Bździu". Wracając do hotelu pogrążył się w refleksjach. Od wczoraj był innym człowiekiem. Miał inne pojęcia i zapatrywania. Niedawne poglądy wydawały mu się przesądami. Patrzał na świat innemi łagodniejszemi oczyma. To go bolało i irytowało. Zarzucał sobie brak woli, brak energji. Wyszydził swą głupotę i słabość. Lecz im dłużej medytował, im dłużej myślał, tem jaśniej widział, że coś się w nim zmieniło, że to coś zmieniła nienawistna lecz jakże droga „Fiu-Bździu".

Pan Tomasz doszedł wkrótce do wniosku, że „Fiu-Bździu" jest mu bardzo bliska. Wspomniał Słonim, nudę wieczorów zimowych, pomyślał jak mile byłoby gdyby taka „Fiu-Bździu" tam była. Musiałaby być dobrą, kochającą żoną... Żoną!!

To słowo wstrząsnęło panem Tomaszem. Zdawało mu się, że to inny człowiek wypowiedział słowo, którego on nie chciał wymówić. I z jednego głupstwa pan Tomasz wpadał w drugie. Zamierzał prosić „Fiu-Bździu" by została jego żoną. Zdawał sobie sprawę, że postępuje nierozumnie, ba nawet głupio, lecz czuł jedynie w tem pewien urok. Ot, zrobić raz w życiu coś inaczej niż zawsze. Ot tak, jakby zwagarować przed własnem sumieniem... Wyobrażał sobie zdumione twarze proboszcza i pani aptekarzowej. I zacierał ręce z uciechy...

Pan Tomasz miał czterdzieści lat. Był energiczny i stanowczy... To też nic dziwnego, że po miesiącu przyjechał do Słonima z żoną „Fiu-Bździu". Lecz to nie był dawny pan Tomasz. Tamten znikł zupełnie. Jego miejsce zajął wyelegantowany starszy pan. Sumiasty wąs już nie zdobił rumianej twarzy. Jego dom spokojny i cichy, stał się przybytkiem melodyj gramofonowych i radja.

Pan Tomasz uważał się za szczęśliwego. Tylko sąsiedzi z proboszczem na czele kręcili głowami i mówili, że z pana Tomasza zrobiło się teraz istne... „Fiu-Bździu".

A. Besser-Kaufmanowa

SPORT W SZTUCE

Na wielkich placach sportowych XI międzynarodowej olimpjady, jako odbędzie się w Berlinie nie zabraknie barw polskich. Obok rozgrywki o piłkę czy krążek, przynoszących sprężystość mięśni, staną zawodnicy z dziedziny sztuki. Sięgamy i teraz po laur olimpijski, który już raz zdobyła nasza poezja i sztuka. Przygotowując udział plastyki w igrzyskach berlińskich, zorganizowano w I. P. S. wystawę prac artystów na temat bogaty i różnorodny, a objęty jednak wspólną nazwą: sport w sztuce. I oto odczuwamy groźny powiew zimy w hokeju, nartach, ślizgawce, pęd szybkich motocyklów i niebezpieczeństwo trudnych wirażów, naprężona atmosfera widzów, blask słońca odbitego od tafli morza i jego prażące promienie, wysiłek wioślarzy, napięcie muskułów przy naciąganiau żagla, szum powietrza w uszach jeźdzca biorącego przeszkody, lub w galopie podbijającego piłkę polo.



Ewa Łunkiewiczowa — Football.

Podczas surowej selekcji, jakiej poddano prace nadesłane na wystawę, odrzucono te, które wypadały poza temat sprecyzowany warunkami konkursu, i te, które, odbijając dobrze moment sportowy, nie wytrzymywały krytyki artystycznej.

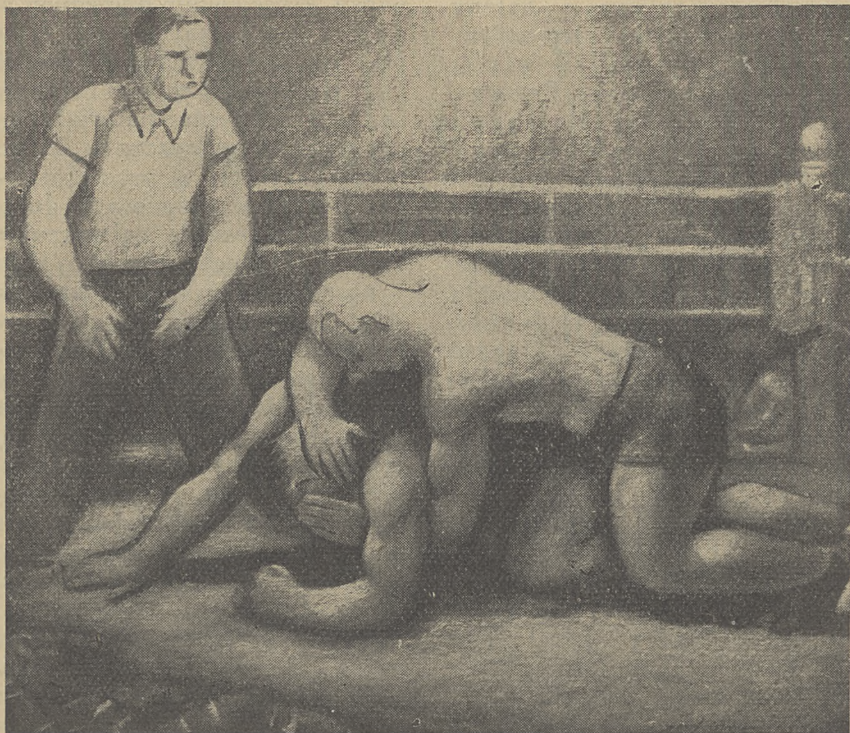
Zpośród dzieł malarstwa, grafiki i rzeźby ukazanych na wystawie, wybrano następnie pewną ilość do wysłania na olimpjadę. Musiały one spełniać dwa zasadnicze warunki: ujmować rzeczowo, wyraźnie podkreślając moment sportowy i stanowić zarazem dzieła sztuki na odpowiednio wysokim poziomie artystycznym, wybrano zatem takie, które otrzymały stempel aprobaty Znawców Sztuki — i Znawców Sportu.

Ogień próby nie był łatwy; konflikt kryterjów oceny często ostry, czasem nie do przewidzenia. Dzieła interesujące z punktu widzenia plastycznego okazały się pełne „ kryminalnych uchybień" dla sportowców — któż się liczył, nie przypuszczając groźnych następstw, że bokserowi nie można dać wąsów, bo ich nigdy żaden w rzeczywistości nie nosi, że wizję malarską wyrażającą się w potężnych koniach z jeźdźcami grającemi w polo trzeba poskromić i zredukować do... małych kuców; że dobrze liczyć należy uczestników walki o piłkę, nietylko nawet tych widocznych na obrazie przy bramce, ale i tych, którzy pozostali na nieprzedstawionym placu.

Choć wiele z tych zarzutów wydaje się nam dalekiemi od istoty rzeczy, choć stajemy w tym sporze po stronie artystów, to jednakże myśląc o wystawie bieżącej, o zmaganiu się artystów z tematem narzuconym, wyraźnie nasuwa się spostrzeżenie, że artyści w większości swej, zlekceważyli konieczność zapoznania się zbliska ze sportem, zapomnieli, że artyści greccy np. odwiedzali igrzyska by śledzić ruch mięśni, układ ciała zawodników — aby następnie dopiero rezultat tych obserwacyj ująć w syntezę zapasów.

Mniemanie, że można się oprzeć na fotografji zawiodło. Objektyw pozornie nieomylny kłamie odbijając sytuacje nieprawdopodobne i przypadkowe, tak wyrażają się rzeczoznawcy sportowi.

Do „Apelu sportowego" stanęli plastycy różnych ugrupowań artystycznych: przedstawiciele „Bloku Plastyków, Pryzmatu i wręcz artyści z Warszawy, Lwowa, Krakowa, pociągnęło ich samo zjawisko sportu, związane tak bardzo z dzisiejszością, zjawisko, którego atrakcyjność stwierdzają wielotysięczne tłumy przybywające na boiska sportowe.



Józef Oźmin — Zapasy.

Temat ten ciekawie załamał się jak w krysztale, różnorako, w indywidualności tych artystów.

Jedni z pośród nich wykazali przejęcie się tematem szczere, chęć podporządkowania jego dezyderatom wizję artystyczną, nakłonienia swego, nieraz abstrakcyjnego poznania do życia, do określonej jego treści, jeśli nie na drodze żywiołowego przeżycia — to na drodze intelektualnego przemyślenia.

Takie oto stanowisko przebija z pięknych rozgrywek o Polo — Grabowskiego i Klukowskiego, w Walce o Piłkę Łunkiewiczowej i Dadlesa, w Zapasach i Rzucie Kulą, Ozmina.

Inni obcość tematu zastąpić się starali dokładnością fotograficzną, która chybiła celu; inni przeszli mimo zadanego tematu, nie odstąpili od swych ulubionych rodzajów malarstwa, wczuwając się jedynie w nastrój sportu — jak Malczewski, który do krajobrazów podgórskich wprowadził maleńkie postacie hokeistów i narciarzy—inni wreszcie nie potrzebowali do tematu przychodzić — bo on do nich przyszedł zastawszy ich na przyjęcie jawnego swego przejawu przygotowanych, jak np. u Bylina, doskonałego malarza koni.

Najtrudniej odpowiedzieć tematowi było artystom należącym do Kręgu neoimpresjonistów, w trosce o interesującą i wyszukaną harmonję barwną zagubił się człowiek który siłą rzeczy musi tu być głównym aktorem. Specjalne przystosowanie tematu sportowego do dekoracji wnętrza na ten cel przeznaczonego stanowi piękny tryptyk prof. Kowarskiego.

Dwie potężne nogi w mocno podkutych butach i piłka, dobitnie i lapidarnie ogłaszają mecz footballowy, nawet napis jest niepotrzebny w tym doskonale pomyślanym i w dobrą formę ujętym afiszu Manteufla — Dyplom nadający godność komandora honorowego Gen. Rydzowi Śmigłemu przez Oficerski Jacht Klub — Chrostowskiego — fregata o wielu żaglach unoszona niespokojnemi falami Bałtyku — oto grafika użytkowa oddana w służbę sportowi. A obok niej prace naszych grafików znanych z wielokrotnych wystaw — z finezji kreski drzeworytniczej — malarskiej miękkości kredki litograficznej. Podejście do tematu analogiczne, jak u malarzy — różny również stopień zaabsorbowania nim wyobraźni artystycznej.

Wizje, pełne fantastyki, rzeczowy realizm, a gdzieindziej znów nastrój odpoczynku, urok piękna przyrody oglądanej oczami kajakowców i żeglarzy płynących na rzece lub siedzących w cieniu wielkich drzew, jak w drzeworytach Telakowskiej, kolorowych, subtelnych w tonie.

Malarstwo i grafika to jeszcze nie wszystko — jest i rzeźba na wystawie sportowej — postacie zawodników, bokserzy, pływacy w chwili skoku do wody — narciarze w chwili skoku w przestrzeń. Jest i tenisistka i taternik śmiało idący na podbój turni łyżwiarka wykuta w miedzi ze spódniczką w kształcie dzwona czy kielicha kwiatu.

Obok tych rzeźb o zakresie mniej lub więcej monumentalnym nieco galanterji, plakaty bronzowe, przedstawiające biegi, rzut oszczepem, piękny puhar z platynowanego bronzu — przeznaczony może na nagrodę sportową.

W małym stopniu lecz zaznaczyła swój udział i architektura: rząd fotografji pływalni w Ciechocinku roztacza przed oczami widza celowość urządzeń sportowych — łącząc użytkowość z estetyką.

Bilans kierunku artystów w kierunku wprowadzenia do współczesnej polskiej plastyki sportu, naogół przedstawia się interesująco.

Przed rozgrywką ostateczną jak przed partją brydża, czy polowaniem życzyć podobno wygranej nie można wolno jednak mieć nadzieję i gorąco pragnąć aby wawrzyn olimpijski zdobyli nietylko zawodnicy sportowi, ale i ci, którzy czyny ich rozsławiają mową plastyczną.

Dr. Jadwiga Puciata-Pawłowska



Krystyna Dąbrowska — Marynarz.

Z półek księgarskich

ZOFJA GERMANOWA: *Od Rarańczy do Marmarosz Sziget.*

Wspomnienia sanitarjuszki Legionów. Nakł. „Naszej Księgarni" Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa. 1936.

Pamiętnik Zofji Germanowej jest opisem najcięższego okresu epopei Legjonów: początek roku 1918, gdy po czterech latach w ogniu walki Legjony Polskie zostały przemianowane zarządzeniem władz austryjackich na Polski Korpus Posiłkowy.

Komenda Korpusu pod dowództwem gen. Zygmunta Zielińskiego została zakwaterowana w Łużanach na Bukowinie; tam też mieściła się izba chorych, w której autorka wraz z dwiema koleżankami pełniła służbę sanitarną. Bohaterskie, czasem tragiczne, czasem pogodne, nie pozba-

wione humoru przejścia trzech „siostrzyczek" legjonowych: Zosi, Tosi i Wiesi są treścią pamiętnika.

I chociaż książka jest opisem porażki (wprawdzie chwilowej) okresu niewoli i przemocy, jednak z każdej karty, z ujęcia każdego epizodu bucha ku czytelnikowi dumna świadomość naordowa, nie pognębiona przeciwnym losem. Ta dzielna postawa wobec wroga, nie opuszczająca legjonistki nawet w największych chwilach, jest przewodnim motywem książki. Ani przez chwilę cień zwątpienia w Wielką Sprawę nie zachmurza horyzontu autorki; niepowwodzenia, szykany Austryjaków, więzienie—wszystko to tylko przeszkody w pełnieniu służby, przeszkody, które trzeba przełamać — gdzie nie można odwagą, to podstępem, to kobiecym sprytem, lecz zawsze z pełnem przeświadczeniem o swem prawie i swym obowiązku. Służba — rozkaz — obowiązek, pojęcia te są motorem zarówno największych poświęceń, jak i dobrego humoru nawet w najgorszych tarapatach, gdyż tego wymagała duma narodowa uwięzionych przedstawicielek Wojska Polskiego.

Ofiarność kobiety polskiej, tyle razy w literaturze opiewana, znalazła w tych skromnych wspomnieniach jeszcze jeden pomnik. Prostota i szczerość opowiadania ujmują czytelnika, sympatyczne postacie sanitarjuszek — chwytają za serce.

Poza watrością czysto historyczną tego przyczynka do dziejów Legjonów Polskich, książka zawiera duże wartości moralne, gdyż daje piękny przykład obywatelskiej służby kobiet polskich dla kraju.

Zofja Bolesławska

PRAWO W ŻYCIU CODZIENNEM

Artykuły z zakresu prawa, drukowane na łamach „Tygodnika Kobiety" mają na celu zaznajomienie Czytelniczek z podstawowemi lub najczęściej w życiu codziennem spotykanemi zjawiskami w tej dziedzinie. Pragnąc, aby wiadomości, zawarte w ramach tych artykułów mogły przyczynić się do ułatwienia Czytelniczkom orjentowanie i posługiwanie się przepisami prawnemi w praktycznem zastosowaniu, zwracamy się do wszystkich pań, czytających nasze pismo, o nadsyłanie do Redakcji tematów, któreby Je specjalnie interesowały. Oczywiście, chętniej będą widziane zagadnienia, interesujące szerszy ogół, ale i poruszanie od czasu do czasu tematów bardziej specjalnych może okazać się wskazane.

Prawo szeroko pojęte mieści w sobie materjał tak bogaty, że właśnie dlatego trudno osądzić, jakie dziedziny bardziej zaciekawiają, jakie bolączki są największe i jakie sprawy wymagają wyjaśnienia.

Za okazaną nam współpracę i nadsyłanie tematów z dziedziny prawnej będziemy naszym Czytelniczkom szczerze wdzięczne.

UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE

Ubezpieczenia społeczne, to bezsprzecznie jeden z najbardziej zawiłych działów prawodawstwa socjalnego, regulowany zmienianemi dość często przepisami prawnemi. Instytucj ubezpieczeniowe, jak Kasa Chorych. Zakład Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych ulegały już kilkakrotnej reorganizacji. Wiemy zresztą wszyscy z własnego doświadczenia, jak trudno orjentować się w odnośnych przepisach, jak często nasuwają nam się wątpliwości co do możności korzystania z pewnych świadczeń lub co do obowiązków ponoszenia ciężarów na rzecz ubezpieczeń społecznych.

Obowiązkowi ubezpieczenia podlegają wszyscy pracownicy fizyczni i umysłowi pomiędzy 16 a 60 rokiem życia. Po tym terminie mogą być ubezpieczeni tylko ci, którzy obowiązkowi temu podlegali przed ukończeniem 60 roku. Niektórzy, jak np. duchowni, lub takie osoby, które otrzymują zaopatrzenie w wys. 40% swego uposażenia służbowego, mogą być z obowiązku ubezpieczenia zwolnione.

Pracownik umysłowy, jak to się mówi, „ma prawo chorować" 26 tygodni, podczas których przysługuje mu prawo do pobierania zasiłku w wysokość 50% przeciętnego tygodniowego wynagrodzenia z okresu 13 tygodni przed zachorowaniem.

Na wypadek bezrobocia pomocy od Ubezpieczalni Społecznej domagać się może ten, kto posiada zasadniczo zdolność do pracy, pozostaje nieprzerwanie bez pracy oraz zgłosił się po zasiłek w sposób przepisami uregulowany. „Samotni" otrzymują 30% przeciętnego zarobku z ostatniego okresu pracy, mający na utrzymaniu rodzinę — 40%.

Prawodawstwo społeczne w trosce o zaopatrzenie osób niemogących zarobkować z powodu podeszłego wieku przewiduje dla mężczyzn po ukończonym 65 roku życia lub po przebyciu 480 miesięcy składkowych i ukończeniu 60 roku życia! dla kobiet zaś po 65 roku lub przebyciu 420 miesięcy składkowych i ukończeniu 55 lat — t. zw. „rentę starczą". Renta ta wynosi 40% ostatnio pobieranego wynagrodzenia, po przebyciu przynajmniej 120 mies. składkowych; jeśli pracownik opłacał składki ubezpieczeniowe pełne 480 miesięcy przysługuje mu renta w wysokości 60% pensji.

Może być również przyznana jednorazowa zapomoga, która dla wdowy i dzieci wynosi sumę równą rocznej pensji ubezpieczonego zmarłego; dla rodziców — równą półrocznemu wynagrodzeniu.

Pracodawcy muszą pilnie przestrzegać zameldowania o przyjęciu pracownika w Ubezpieczalni; jeśli nie dokonają tego w przeciągu 7 dni, prawo grozi im grzywną do 500.— zł.

Prawo różnie traktuje wypadki, gdy w trakcie ubezpieczenia nastąpiła przerwa. Jeśli od dnia poprzedniego ubezpieczenia upłynęło nie więcej niż 18 miesięcy, dawne miesiące składkowe dolicza się do nowego okresu ubezpieczenia; jeśli jednak przerwa była dłuższa i trwała np. 5 lat, poprzednie ubezpieczenie wlicza się do nowego dopiero po przebyciu 12 miesięcy składkowych; gdy przerwa wyniosła 10 lat — po przebyciu na nowo 24 miesięcy składkowych i t. d.

Wskutek wzrastających wciąż trudności finansowych zmniejsza się z jednej strony zasiłki wypłacane ubezpieczonym, z drugiej strony nakłada się na nich nowe opłaty, nieprzewidziane w dawnych ustawach. Tak więc opłaca się za każdorazową poradę lekarską 20 gr., za zabieg leczniczy i lekarstwo — 10 gr. Niektóre czynności z zakresu lecznictwa, jak zabiegi chirurgiczne, naświetlanie dzieci do lat 7 w wypadkach skrzywienia kręgosłupa, szczepienie surowicą i inne uznano za tak specjalne i ważne dla zdrowia publicznego, że dokonywane są bez pobierania jakichkolwiek dodatkowych opłat.

K. Tuwanówna.

ZE SREBRNEGO EKRANU

Tym, którzy lubią powieści Zane Grey'a lub Maxa Brandta podobał się niewątpliwie film „*W cieniu samatnej sosny*" (zresztą też przeróbka z powieści tego typu). Jest w nim dużo świeżości, jaką wnosi na ekran prymitywna przyroda i prymitywni ludzie ale też dużo brutalności, połączonej z naiwnym sentymentalizmem. Akcja toczy się wokół nieustających sporów dwuch rodzin, zamieszkałych głuche, leśne ustronie Kanady czy też Gór Skalistych. Powód pierwszej zwady zginął już w mrokach niepamięci, a od szeregu pokoleń oba rody żyją we wzajemnej nienawiści, ciągle na nowo podsycanej nowemi krwawemi ofiarami, jakich wymaga „vendetta". Wśród tych impulsywnych, okrutnych, nawpół dzikich ludzi zjawia się młody inżynier przeprowadzający tamtędy kolej i zostaje wplątany w ponure porachunki Felinów i Galliverów. Zetknięcie pioniera cywilizacji z temi „leśnemi ludźmi", do których ani rozsądek ani prawo nie mają przystępu, bo kierują nimi tylko impulsy i instynkt, — daje kilka mocnych scen, w stylu dawnych filmów niemych. Reżyser Hethaway, znany nam z filmów o tak różnym charakterze jak „*Bengali*" i „*Peter Ibbetson*", pokazał swoją wszechstronność, wprowadzając nas znowu w inne środowisko. Odtworzył je z właściwą sobie niezawodnością, zwracając przytem większą uwagę na ogólny koloryt niż na psychologję bohaterów, zresztą dość wątpliwej wartości. Dużo malowniczości i nastrojowości wydobył reżyser zarówno z pejzażu, jak z postaci np. starego drwala-śpiewaka.



Sylvia Sidney w filmie „W cieniu samotnej sosny".

W scenie pogrzebu małego Buddy'go poznajemy twórcę „Petera Ibbestona". Film ten jest kolorowany, co mu niezawsze wychodzi na dobre; ludzie są tu wprawdzie mniej „woskowi" niż w innych filmach kolorowych, ale za to krajobrazy, prócz kilku, naogół wyglądają jak oleodruki. Mówię prócz kilku, bo np. niebieskość oddalonego pasma górskiego, lub samotna sosna na tle zamglonego horyzontu, są to już duże osiągnięcia kolorystyczne. Z czasem będzie ich napewno więcej.

Z wojny między rodami przenosimy się do wojny między narodami, czyli do — Wielkiej Wojny, z której raz jeszcze zaczerpnięto tematu do filmu wojenno-lotniczego („*Załoga*" reż. Anatol Litvak). Film ten jest właściwie przeróbką znanej francuskiej powieści Kessel'a p. t. „L'equipage". Według tradycji ustalonej przez scenarzystów amerykańskich, w filmach wojenno-lotniczych kobiety nie grają żadnej roli, albo tylko epizodyczne. Film francuski zrywa z tą tradycją; tutaj osią akcji jest właśnie kobieta. Honor, męstwo, koleżeństwo — zwykłe elementy takich filmów — zostają tu wzbogacone o jeszcze jeden — namiętność. Bo tu psychologja bohaterów „Załogi" jest więcej skomplikowana, a miłość okazuje się siłą prawie tak samo destrukcyjną jak — wojna. Anabella niezupełnie dobrze czuje się w roli zdradzającej żony, (a może tylko w — brzydkich pseudo-stylowych tualetach z lat wojennych!) Za to mężczyźni są bez zarzutu: młody amant Jean Pierre Aumont, Jean Murat, Charles Vaunel i cały zespół oficerski niczem nie ustępuje wykonawcom podobnych filmów amerykańskich, a to już jest najwyższa pochwała. Zasługa to oczywiście również reżysera, który na marginesie akcji umieścił kilka wymownych scen, malujących mniej efektowne, a bardzo bolesne akcesorja wojny (pożegnanie młodzieży przeznaczonej na rzeź bez stosowania środków humanitarnych, przez pozostałe rodziny; matka, która nie zobaczy już swego syna wśród powracających żołnierzy i w. in.). Znamienne jest, że w ciągu krótkiego czasu, widzimy już drugi film wojenny („Czarny anioł" był pierwszy). Czyżby to powrotna fala „mody" na filmy wojenne, czy może jakieś — „głębsze znaczenie"? Przestroga czy — zachęta?!

Pierwszy amerykański film Kiepury przyniósł rozczarowanie. Nie ze względu na Kiepurę, który jest tam, naprawdę, „wyzyskany", w całem znaczeniu tego słowa przez cały czas trwania tego filmu prawie nie przesta-

trwania tego filmu prawie nie przestaje śpiewać. A że —jak wiemy—ma głos lepszy, więc na pozór — wszystko w porządku. Ale przecież widywaliśmy Kiepurę w filmach, które niezależnie od jego udziału, miały wartość (np. „Pieśń nocy" reż. A. Litvaka, lub „Pieśń dla ciebie" reż. Joe May'a), to też ten osobliwy scenarjusz, według recepty przeznaczonej „dla tenora", nie może nas dziś zadowolnić! *„Pieśń miłości"* jest bliźniaczo podobna do kilkunastu innych filmów wokalno-muzycznych, z tą różnicą jedynie, że zamiast wiązanki aryj z kilku oper, mamy tu oryginalną muzykę Komgolda. Jest to więc raczej film do słuchania, mniej do patrzenia, a już zupełnie nie do zastanawiania się.

Anny Ondra, prześliczna Czeszka, niestety, obecnie zupełnie zmieniona, po dłuższej nieobecności na naszych ekranach, ukazała się teraz w filmie p. t. *„Kochany łobuz"*. Jest to przeróbka granej i u nas w teatrze angielskiej komedyjki p. t. „Wiosenne porządki". Na ekranie rzecz ta wyszła więcej farsowo i, w niemieckiem wykonaniu, zatraciła swój angielski charakter. Zagrano ją naogół bardzo dobrze, ale reżyserja utrzymana w stylu teatralnym, bez wyzyskania możliwości, jakie daje ekran, sprawia, iż film ten nie posiada żadnych wartości, poza rozrywkowemi.

es-ha



Kiepura w filmie „Pieśń miłości".

Apelujemy!

TYGODNIK KOBIETY został powołany do życia wspólnym wysiłkiem grona kobiet, rozumiejących konieczność posiadania własnego pisma, które nie kierowałoby się chęcią zysku, ani interesem handlowym, a potrzebą zjednoczenia się pod sztandarem wspólnych zainteresowań, bronienia praw do pracy i sprawiedliwości.

Posiadanie własnego pisma, w którem mamy prawo wypowiadać się bez zastrzeżeń dyktowanych kalkulacją jednostki, jest naszem wspólnem pragnieniem, stanie się z czasem naszą siłą.

Kobiety polskie nie miały dotąd własnej prasy. My Im dajemy nasze szpalty. Niech rzucają na nie ziarno własnych myśli, dążeń, pragnień i dorobków.

Tygodnik Kobiety jest jedynem pismem kobiet Polskich. Tylko one są odpowiedzialne, wspólnym solidarnym wysiłkiem, za jego rozwój i trwanie.

Dlatego też w chwili, gdy 2/3 naszych Prenumeratorek zalega z przekazywaniem prenumeraty, a cały szereg udziałowczyń nie poczuwa się wogóle do wpłacania prenumeraty, powodując opóźnienie numerów, stwarzając niewypowiedzianie trudne warunki pracy redakcyjnej i administracyjnej, czujemy się w prawie apelowania do Ich solidarności, prosząc o wyrównanie zaległości, nawołując do stworzenia silnego, jednolitego frontu, który zadokumentuje powagę naszych wspólnych poczynań.

Dołączyłyśmy do ubiegłego numeru czeki rozrachunkowe. Liczymy na punktualne wpłaty, na wyrównanie zaległości, na Waszą lojalność i dobrą wolę!

REDAKCJA

Poduszka z jedwabiu koloru piaskowego

Kwiaty aplikowane z aksamitu lila rose do cieniu, liście zielone.



W OBRONIE DNIA POWSZEDNIEGO

Z DNIA NA DZIEŃ

Tak teraz żyjemy!

Niema ciągłości w naszych planach, poczynaniach, dorobkach. Wszystko jest jakieś chwiejne, już u zaczątku zagrożone, bez zdrowego rumieńca, bez jutra.

Bo „jutro" nie cieszy się wogóle względami. Chyba u wybranych.

Dla nas jednostek przeciętnych, skazanych na *przeciętne* warunki bytowania, *jutro* to nie radosne odwracanie nowej karty w księdze życia, a nowy lęk, co ściska serce w chwili przebudzenia i towarzyszy przez cały długi dzień, koło udręki, małych i większych kłopotów, zmagań, porażek i zwycięstw, ale zwycięstw okupionych szarpaniną nerwów, wysiłkiem przekraczającym siły.

Trudno się zatem dziwić, że żyjemy z dnia na dzień, uważając każde „dzisiaj" o tyle o ile uczciwie obsłużone za cud, który się może jutro nie powtórzy, a każde „jutro" za zaciętego wroga.

Boimy się projektów i planów. Brak nam podstaw spokoju i równowagi. W każdym dzwonku wyczuwamy grozę czegoś czemu trzeba będzie się znów bohatersko przeciwstawiać, znów jakoś radzić w poczuciu, że to już chyba ostatni raz, że jutro już nie damy rady.

Ten nastój *tymczasowości* działa na nas destrukcyjnie.

Jedne uczy lekkomyślności, która pozwala jednak od czasu do czasu na jakąś maleńką radość, na cień chociażby uśmiechu. W drugich gasi całkowicie radość życia, zabija twórczość, zmienia w smutne automaty, które nie żyją, a wegetują. Mało jest natur silnych, co umiałyby w walce z dniem dzisiejszym, w lęku na myśl o zbliżającem się jutrze, zachować pogodę ducha, twórczość, równowagę i wiarę w przyszłość.

Skąd biorą się te natury „niespożyte", jak je naogół nazywamy? Jakim cudem utrzymują się na powierzchni zawsze radośnie, zawsze z uśmiechem?

Widzą napewno przed sobą jakiś większy, ogólniejszy cel, niż zmaganie się z osobistemi bolączkami i gonienie za własnem zadowoleniem i spokojem. Ich jutro, to nie jutro jednostki, to jutro pokoleń.

A właśnie to „jutro pokoleń" jest najsilniej zagrożone życiem z dnia na dzień.

Jeżeli czujemy się wobec samych siebie usprawiedliwione rozczłonkowując życie na walkę z poszczególnemi dniami, pamiętajmy jak bardzo krzywdzimy młode pokolenie wzrastające w tej nadwyraz demoralizującej atmosferze tymczasowości. Zatrute jej emanacjami poniesie ze sobą w życie przeświadczenie o niepewności jutra, o tem, że właściwie „nic nie warto".

Dzień dzisiejszy, który staramy się „jakoś przeżyć" nie jest całością oderwaną. Płaci za wadliwe „wczoraj" — ponosi odpowiedzialność za spokojne jutro. Jest ogniwem w łańcuchu całości, dlatego też mści się, mści się dotkliwie na całości jeżeli go wadliwie traktujemy. Spojrzyjmy odważnie w jego oblicze, zróbmy uczciwy rachunek sumienia. Za ileż to grzechów poczętych *wczoraj* płaci dzień dzisiejszy, ileż odpowiedzialności za *jutro* ciąży na każdej jego godzinie.

Z dnia na dzień, to toczenie się po linji najmniejszego oporu. To nie fundament pod przyszłość naszą, naszych dzieci, pod przyszłość społeczeństwa. Takim systemom pedagogicznym brak zdrowych pożywewk.

Zerwijmy z krótkowzrocznością, sięgnijmy wzrokiem w dal. Pamiętajmy, że znienawidzone w dzisiejszych czasach *jutro* należy nietylko do nas, ale i do tych, co przyjdą po nas. Nie odbierajmy im miłości do życia i wiary, bo wyhodujemy kaleki.

Wanda Dobrzańska

Higjena letnich miesięcy

ODŻYWIANIE

Higjena letnich miesięcy obejmuje najróżnorodniejsze dziedziny życia. A więc: odżywianie, ubranie, dostosowany do sezonu sposób spędzania dni pracy i wypoczynku, wykorzystanie wszystkiego, co daje nam sezon letni, zarówno z punktu widzenia przyjemności, jak i pożytku dla organizmu i systemu nerwowego, który trzeba uzbroić w dostateczną ilość sił żywotnych na długie miesiące szarzyzny nadchodzących sezonów.

Odżywianie w okresie obfitującym w owoce, jarzyny, powinno mieć przedewszystkiem na celu dostarczenie organizmowi ludzkiemu składników, jakich jest pozbawiony w zimie. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę fakt, że wartość odżywcza świeżych jarzyn, w szczególności tych wystawionych na dobroczynne działanie słońca, które zawierają wskutek tego większy procent mineralnych składników, niż jarzyny znajdujące się w ziemi, za wyłączeniem marchwi, przerasta tysiąckrotnie, wartości odżywcze jarzyn i owoców przechowywanych w spiżarniach i piwnicach.

Pozatem obfitość płodów natury daje nam jeszcze możność skreślenia z listy jadłospisów tych pokarmów, których nadużywanie zatruwa organizm i powoduje cały szereg dotkliwych chronicznych niedomagań.

Podstawowa zmiana i uroizmaicenie jadłospisu — to nietylko sprawa rozkoszy podniebienia. Główną wartością takiego racjonalnego systemu odżywiania jest dopomożenie organizmowi do odrodzenia się, odciążenia go z nagromadzonych w ciągu mięsożernych miesięcy trucizn, powstających w organizmie naskutek nadmiernego spożywania białka zwierzęcego, podniecenie sprawnej przemiany materji.

Jarstwo, jako poruszające jedną z najważniejszych spraw życia codziennego, bo sprawę odżywiania, z którą nietylko zdrowie nasze, ale i długość życia naszego są związane, zagranicą już oddawna wzbudziło szersze zainteresowanie ogółu.

Nietylko prasa codzienna, dosyć miejsca na szpaltach swych jarstwu poświęca, ale prawie we wszystkich językach europejskich, wydawane są specjalne pisma jarskie, a w Anglji, Francji, Niemczech, Szwajcarji i t. d., pomijając już Amerykę — potworzyły się całe towarzystwa, mające na celu rozpowszechnianie tego zbawiennego w swych skutkach dla zdrowia, sposobu żywienia się.

Od chwili odkrycia (przez naszego rodaka, Kazimierza Funka) znaczenia

witamin — doniosłość wartości kalorycznej (cieplikowej) pokarmów dla organizmu uległa obniżeniu; bo choć mięso jest więcej pożywne od jarzyn i owoców, jednak możemy żyć, nie jedząc nic prócz naturalnych płodów ziemi i doskonale się w zdrowiu utrzymywać.

Nawet ścisłe głodówki mogą być dobrze i dłużej znoszone przez człowieka, jeżeli w tym czasie wypija dziennie dwie—trzy szklanki wody z sokiem z cytryny, pomarańczy lub marchwi, zawierających witaminy.

System odżywiania w letnich miesiącach układamy w ten sposób, aby wszystkie potrzebne składniki mineralne, które znajdujemy w naturze, jak: fosfor, jod, potas, żelazo, chlor, siarka, magnezja i t. d. były uwzględnione.

Ułożenie przeto odpowiedniego spisu jarzyn z wyszczególnieniem mineralnych składników w nich zawartych, ułatwi zestawienie jadłospisu.

1) Fosfor — konieczny dla ludzi pędzących czynny tryb życia znajduje się w następujących jarzynach: kapusta, ogórki, kalafiory, brukselka, cebula, rzodkiewka i w żółtkach.

2) Jod — zapewnia żywotność, wpływając tem samem dodatnio na zachowanie urody. Mamy duży wybór jarzyn z tym nieocenionym składnikiem: szpinak, karczochy, grzyby, buraki, cebula, z owoców — gruszki i truskawki.

3) Żelazo — ważne dla funkcji, opróżnienia przewodu pokarmowego. Do jarzyn i owoców zawierających żelazo należą: kapusta biała i czerwona, szpinak, buraki, ogórki, marchew, cebula, — maliny, wiśnie, winogrona oraz żółtka.

4) Potasowe składniki są niezbędne dla organizmu kobiecego, aby usunąć zmęczenie i obstrukcję. Znajdujemy je w jarzynach jak: pamidory, buraki, szparagi, szpinak, oliwki oraz w owocach: truskawkach, melonie, brzoskwiniach.

5) Siarka — oczyszcza organizm. Wpływa dodatnio na osoby skłonne do reumatyzmu oraz chorób skórnych. Włączając do jadłospisu potrawy, zawierające siarkę, czynimy nasz organizm odporny na poprzednio wymienione choroby. Do potraw w których znajduje się siarka należą: ryby, biały ser, ryż, pszenica, żyto, surowe żółtka — z jarzyn: selery, soczewica, groch, pomidory oraz owoce: orzechy włoskie i migdały.

6) Sole magnezjowe oprócz skłonności przeczyszczających, zabezpieczają od zatrucia przewód pokarmowy i kiszki, są konieczne dla muskułów i ścięgien.

Sole te znajdują się: w cytrynach, wiśniach, brzoskwiniach, agreście, orzechach włoskich, oraz w jarzynach jak: szparagi, szpinak, rzodkiew, — pszenica i żółtka również zawierają w sobie duży procent soli magnezjowych. Nieocenionym pełnowartościowym owocem, który zawsze dołączyć możemy do każdego jadłospisu jest „grejpfrut". Rola grejpfrutu w życiu codziennem jest olbrzymia ze względu na jego właściwości odżywcze.

Lekki, czysty w smaku, soczysty, w sam raz dostatecznie ostry, by zlekka podrażnić nasze podniebienie, o bardzo miłym aromacie, pobudzającym apetyt. Kto rozpocznie dzień od spożycia „grejpfrutu" ten przekona się, że w tym dniu będzie doświadczał pełni energji.

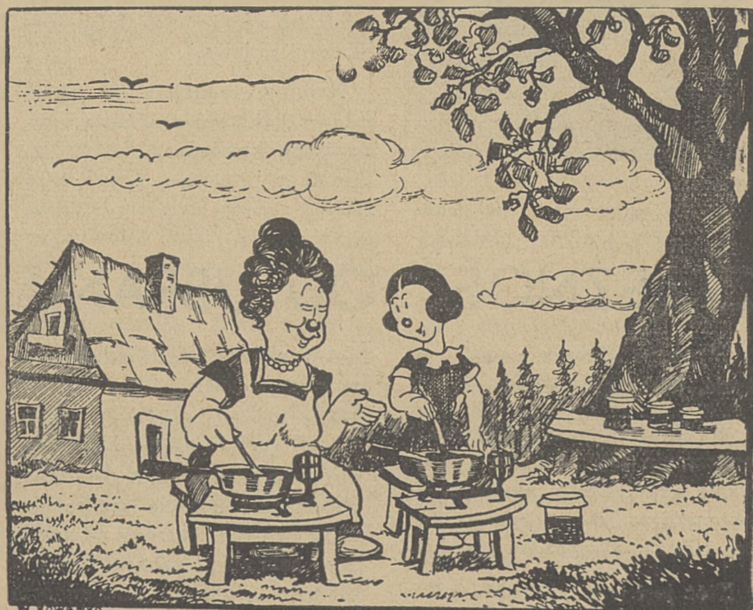
Nigdy tak dużo nie pisano i nie zajmowano się sprawą przedłużania młodości i życia, jak w chwili obecnej, jednakże najpewniejszą drogą do osiągnięcia upragnionego celu jest dobrze zrozumiana higjena życia, która polega przedewszystkiem na racjonalnie pojętej higjenie odżywiania.

Wanda Pomian-Pomianowska

Smażenie konfitur na letnisku



na płycie kuchennej



na kuchence spirytusowej Emes

BEZ KŁOPOTU

Nigdzie w Europie niema kuchni tak wymyślnej i tak niezdrowej, jak kuchnia polska.

Dzieje się to tem, że lubimy przedewszystkiem zawiesiste, śmietanowe zupy, pikantne sosy, no i wierzymy, że tylko mięsem można się nasycić.

Droga, którą postępujemy, jest drogą najmniejszego oporu. Oczywiście mięso jest tylko elementem kulinarnym, który daje nam najszersze i najłatwiejsze pole do osiągnięcia nieodzownego w naszych warunkach urozmaicenia codziennych jadłospisów.

Anglja 365 dni w roku spożywa rozbef lub befsztyk, odmładzając go sobie dodatkowemi sałatami. Francuz wychowuje się na antrykocie i sałatach... i nawet tej monotonji nie dostrzega! Polak wierzy wyłącznie w mięso, z obrzydzeniem spogląda na „zielsko" (czytaj jarzyny), a dania jarskie ma w pogardzie.

Tylko panie domu mogą przeprowadzić zmiany w dziedzinie naszej dietetyki, która domaga się tych zmian od podstaw, a ma do przewalczenia dwie przeciwności:

1) zadawniony, obyczajowy sprzeciw naszego społeczeństwa w stosunku do jarzyn, owoców, surówek i dań bezmięsnych w ogólności, oraz 2) brak przygotowania praktycznego samych pań domu, a także pomocy z zewnątrz do pomysłowego stosowania dań jarskich w naszych codziennych jadłospisach.

Każda z pań domu zgodzi się napewno, że najnieznośniejszą jej troską jest zapoczątkowanie właściwego doboru potraw na postny dzień.

Sprawa zgóry jest przesądzona, że pan domu, wstając od takiego posiłku będzie ponury, jak chmura gradowa i z miejsca zadeklaruje... że dziś ma wrażenie, że nie jadł obiadu! Ktoby nie chciał za wszelką cenę uniknąć podobnych przykrości?

I unikają ich panie domu, za cenę ustawicznego karmienia domowników mięsem, ze szkodą groźną dla zdrowia najbliższych.

Miejmy nadzieję, że ożywienie literatury kulinarnej w dziedzinie bezmięsnej, trudności te złagodzi i że będziemy bez kłopotu posługiwać się daniami jarskiemi.

Z radością też należy zasygnalizować paniom pojawienie się nowej książki, tego typu, Jest nią „48 obiadów bezmięsnych" w opracowaniu Julji Czechowskiej.

Książka jest wynikiem wielu lat pracy i badań praktycznych autorki i ma to, co jest najważniejsze — ciężar gatunkowy życia. Jest wynikiem potrzeb życia i stara się im sprostać.

Zawiera poza zestawieniem obiadów na sezon letni i zimowy, dania kolacjowe i obszerny dział pieczenia ciast. Przepisy są jasne, proste, odpowiadające wymaganiom współczesnych pojęć o zasadach higjeny i djetetyki, a pozatem potrafią zachować smak wykwintny, tak nieodzowny dla polskich zblazowanych podniebień. Połączenie tych wartości jest prawdziwą zasługą autorki.

M. A.

Dobre rady



Dobrze ubita piana z białek to podstawa udanych potraw. Chcąc otrzymać prawdziwie sztywną pianę dobrze jest dodać do białek parę kropel soku cytrynowego.

Wystrzegać się bicia piany w naczyniach metalowych, glinianych niepolewanych i blaszanych, od których tak łatwo odskakuje polewa.

Najodpowiednejsze są porcelanowe lub fajansowe miski, albo naczynia kamienne.

Szczotki używane do sprzątania, czyszczenia ubrań i szczotki do włosów powinny być myte w letniej wodzie z mydłem, płókane starannie w kilku wodach i dokładnie, a racjonalnie suszone.

Szczotki osadzone na kijach, wiesza się po umyciu w otwartem oknie, a małe delikatne szczoteczki układa się włosem na dół na miękkim kąpielowym ręczniku, rozesłanym na parapecie okiennym.



ZALEŻNOŚĆ OD UBRANIA

Wygodne ubranie prześwietla życie, jakby promieniem słońca.

Wydajność pracy, sprawność poruszania się, zdolność odczuwania przyjemnego nastroju, — wszystko to jest zależne w dużej mierze od sposobu ubrania.

Któż jest w stanie zaprzeczyć, że niewygodne, albo nieodpowiednie obuwie nie ponosi w dużej mierze odpowiedzialności za somopoczucie.

Kto nie zna rękawów, wpijających się w przedramię i krępujących ruchy rąk. Której z nas obcem jest uczucie rozdrażnienia, wywołane rękawem od sukni, czy szlafroka, zahaczającym o zastawę stołową, zrzucającym drobazgi przy ścieraniu kurzu, utrudniającym sprawność poruszania rękami przy zajęciach domowych.

A zbyt ciasny kapelusz, wywołujący ból głowy. Jakieś niedokładności w wykończeniu, czy kroju sukni, lub okrycia, które absorbują myśl i uwagę. Nieodpowiednie ubranie w podróży, co każe strzec bezustannie okrycia, sukni, kapelusza przed kurzem, słońcem, deszczem.

Wszystkie te i wiele innych punktów zaczepnych rujnują poczucie wygody, psują nastrój przeżywanej chwili, a zatem nie mogą być bagatelizowane.

Współczynnikiem dobrego samopoczucia jest estetyka. Poczucie estetyki, to instynkt stwarzania piękna, obcowania z niem. Tego głodu nie można oszukać! Dlatego też poczucie *niedoskonałości wyglądu*, ciągłe obcowanie z cudzą nieestetyczną zewnętrznością jest dla wielu kobiet dotkliwą przykrością, przyniającą się do zgaszonego nastroju, do zmatowania radości życia.

Fabryka „Dobrolin" zbiera same sukcesy

Możemy z zadowoleniem skonstatować, że fabryka „Dobrolin", ciesząca się opinją, iż jej wyroby są niedoścignione, wypuściła obecnie, niezależnie od „Mytolu", który wstępnym bojem zdobył uznanie naszych Pań Gospodyń („Mytol" wszystko myje, pierze i czyści), — — nowy, naprawdę skuteczny środek pod nazwą „Sam", zwalczający pluskwy, mole oraz wszelkie robactwo.

„Sam„ jest nieszkodliwy dla otoczenia i łatwy w użyciu.

„Sam", jako wyrób fabryki „Dobrolin", daje 100% gwarancji swej skuteczności.

A. M.

Sprawa garderobiana nie jest bynajmniej sprawą liliputią, jest zagadnieniem wielostronnem, zagadnieniem o wpływach przemożnych na stan zarówno fizyczny, jak i psychiczny, a rozwiązanie go spada na nasze barki. Jest w niem dzisiaj niestety dużo więcej cudotwórczości, niż *normalnego sprostania zadaniu*, opartego na zdrowych podstawach materjalnych.

Ale któż, jak nie kobieta, jest stworzona właśnie do rozwiązywania tak zawiłych problemów?

Pedantka

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA

Barszcz czysty w filiżankach
Grzanki z jarzynkami.
Cielęcina pieczona — sałata ze śmietaną — młode kartofle.
Legumina z drobnych owoców w kruchem cieście

PONIEDZIAŁEK

Zupa cebulowa rumiana z grzankami.
Kotlety z jaj i ryżu — sos pomidorowy.
Sałata.
Biszkopt z truskawkami.

WTOREK

Rosół cielęcy z lanemi kluseczkami.
Potrawa z cielęciny w białym sosie koperkowym.
Młode kartofle — sałata.
Owoce.

ŚRODA

Zupa pomidorowa ze śmietaną i ryżem.
Kalarepka faszerowana — młode kartofle.
Poziomki.

CZWARTEK

Krupnik z jarzynkami.
Wątróbka smażona — młode kartofle.
Sałata ze śmietaną.
Owoce w galarecie.

PIĄTEK

Zupa szczawiowa—jaja na twardo.
Flondry smażone — młode kartofle.
Sałata, albo mizerja.
Kalafiory z masłem.

SOBOTA

Kaszka krakowska z masłem i koperkiem.
Zraziki cielęce po nelsońsku z młodemi kartofelkami.
Surówka z jarzyn.
Truskawki.

PRZEPISY KULINARNE

Zupa owocowa czysta. Najsmaczniejsza będzie z bardzo dojrzałych poziomek.

Proporcja: 6 szklanek dojrzałych poziomek, 3 szklanki wody przegotowanej wystudzonej, szklanka białego wina owocowego, sok z pół cytryny, cukru do smaku. Wybrać z przeznaczonych na zupę dojrzałych poziomek niepełną filiżankę, biorąc najdorodniejsze, dojrzałe, zdrowe jagody. Resztę przefasować przez sito. Powidełka poziomkowe włożyć do wazy, rozprowadzić przegotowaną wodą wystudzoną, winem i sokiem cytrynowym, wymieszać, doprawić cukrem do smaku, dodać całe poziomki, zamrozić w lodzie. Podawać z groszkiem ptysiowym.

Zupa z czarnych jagód. 3 litry dojrzałych, bardzo świeżych czarnych jagód (nadpsute są zawsze gorzkie), wymyć czysto, wsypać do rondla, zalać wodą, dając jej tyle, aby jagody przykryła, gotować 15 minut, dodając cukru do smaku. Zdjąć z ognia, rozbić kopystką drewnianą, przefasować przez sito, wystudzić i wyziębić w lodzie. Na wydaniu jeszcze doprawić cukrem w razie potrzeby i dodać albo wyborowej, młodej kwaśnej śmietany, albo też na litr zupy szklankę czerwonego wina. Podawać zupę z jagód, zabielaną z delikatnemi, małemi łazankami, a doprawianą winem czerwonem z gorszkiem ptysiowym, albo drobnemi słodkiemi grzaneczkami.

Grzanki z jarzynkami. Ugotować dowolne młode jarzynki, osączyć z wody. Rozpuścić w rondelku trochę masła deserowego, dodać niewielką ilość mąki pszennej, włożyć w to jarzynki, wymieszać, podlać słodką śmietanką dając jej tyle, aby sosu było bardzo niewiele. Doprawić solą i cukrem, dodać siekanego koperku zielonego.

Przyrządzić dowolną ilość grzanek, jednakowej wielkości i kształtu. Każdą grzankę maczać w mleku, osączać, maczać w rozbitem jajku i skrążać w tartej bułeczce. Usmażyć na obfitem maśle na złoty kolor. Ułożyć grzanki na okrągłym, ogniotrwałym półmisku, na każdą grzankę nałożyć jarzynek, formując zręczny stosik, skropić masłem sklarowanem, wsunąć jeszcze na chwilę do pieca, żeby się wygrzały.

Cebula duszona z grzaneczkami. Nieduże cukrowe cebule obrać z wierzchniej skórki, rzucić na obfitą wrzącą wodę, gotować parę minut, odlać, osączyć. Rozgrzać w płaskim rondlu tyle masła, aby pokryło całkowicie dno rondla, ustawić na niem cebule jedną przy drugiej, zrumienić na ostrym ogniu uważając jednak, aby się masło nie przypaliło. Podlać kilkoma łyżkami mocnego rosołu, albo buljo

nem. Dusić, potrząsając często rondlem, inaczej przywrą do dna. Dusić na wolnym ogniu dopóki sos nie wydusi się do połowy i nie nabierze odpowiedniej gęstości. Przygotować tyle grzanek zrumienionych na maśle, ile mamy cebul. Ułożyć grzanki na półmisku, ustawić na nich cebule, polać sosem, który trzeba przecedzić przez sitko i wydawać natychmiast, żeby grzanki nie straciły chrupkości.

Muszelki z drobiu z groszkiem zielonym. Kawałki gotowanego drobiu oczyścić ze skórki, pokrajać drobniutko. Groszek zielony oczyścić starannie z sosu. Wymieszać z beszamelem, dodając do niego zamiast tartego sera kilka kropel soku cytrynowego.

Móżdżki cielęce na muszelkach. Mózgi cielęce wymyć w zimnej wodzie, obrać starannie z błony, obgotować w lekko osolonej i lekko zakwaszonej wodzie. Kłaść mózgi w gorącą wodę, gotować kilka minut.

Po ugotowaniu wyjąć na durszlak, niech doskonale obciekną z wody.

Rozetrzeć łyżkę masła z łyżką mąki pszennej, podgrzać na wolnym ogniu. W rozpuszczone masło z mąką wlać szklankę wyborowej śmietany, lekko osolić, zagotować mieszając. Doprawić buljonem, sokiem cytrynowym, solą.

Osączone mózgi pokrajać w drobną kosteczkę, włożyć do gorącego sosu, ostrożnie wymieszać, aby nie zmacerować mózgu. Nakładać na muszelki. Na parę minut przed wydaniem na stół ustawić muszelki na blasze od pieczenia, polać przyrumienionem masłem z bułeczką, wsunąć do dobrze ciepłego pieca żeby się rozgrzały. Podawać ustawione na poszczególnych talerzykach deserowych. Oddzielnie dać cytrynę, pokrajaną w ćwiartki i oczyszczoną z pestek.

Węgorze w marynacie. Zręcznie pokrajaną w gwiazdki marchew. pietruszkę, selera i cebulę cukrową, poszatkowaną w talarki zalać wodą, gotować na wolnym ogniu z dodatkiem soli.

Z chwilą, gdy jarzyny są już nawpół ugotowane, dodać do smaku parę ziarn ziela angielskiego, pieprzu i dwa listki bobkowe. Wlać szklankę kwaśnego wina krymskiego, albo krajowego, sok z całej cytryny (przecedzony). Ułożyć w tym smaku rybę podzieloną na dzwona. Gotować do miękkości, uważając, aby się nie rozleciała.

Miękką rybę przestudzić, złożyć w słój, zalać smakiem, a gdy zupełnie zimna, owiązać pergaminem i wystawić do zimnej spiżarni.

Marynata powinna nabrać kon systencji lekkiej galarety. Jest wyborna, a w zimie daje się nawet długo przechowywać.

W ten sposób przyrządza się wszelkie marynaty z ryb, jak: karpia, lina, pstrąga, jesiotra, suma, miętusa, leszcza.

Sałata zielona z marchwią. Oczyścić parę marchewek (karotek), umyć, poszatkować bardzo cieniutko, lekko osolić, zacisnąć sokiem cytrynowym, pozostawić w chłodzie na kilka godzin, żeby się surowa marchewka doskonale zmacerowała.

Zieloną sałatę opłókać, osączyć. Wysłać dno szklanej salaterki listkami sałaty, posypać je marchewką szatkowaną, dać znów sałatę i znów marchewkę, postępując tak, aż do wypełnienia salaterki.

Sok z jednej cytryny wymieszać z dwoma łyżkami wyborowej oliwy nicejskiej, dodać trochę cukru, szczyptę soli, siekanej zieleninki. Zalać tą zaprawą sałatę.

Potrawka z drobiu pieczonego. Pozostały na zimno drób pieczony obrać z kości, pokrajać na nieduże kawałki równomiernej wielkości i kształtu.

Przyrządzić sos rumiany, włożyć w niego drób, raz zagotować i pozostawić w cieple pół godziny, aby się mięso przejęło smakiem sosu. Podawać z przysmażanemi kartofelkami.

Sos rumiany do drobiu. Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, nie rumieniąc, rozebrać rosołem albo buljonem. Zagotować mieszając. Jedno jabłko winkowate obrać ze skórki, wydrążyć środek, pokrajać w kostkę, wrzucić do sosu, gotować chwilę. Jabłko powinno zmięknąć, ale nie rozlecieć się. Doprawić sos do smaku sokiem cytrynowym, solą, cukrem, zabarwić karmelem, dodać łyżkę wina białego, włożyć drób, przykryć, wstawić rondelek z potrawką w gorącą wodę, aby nie wystygła. Nie gotować. Przykryć żeby sos nie stracił aromatu.

Legumina z drobnych owoców. Zagnieść kruche ciasto podług proporcji: 25 dkg. mąki, 15 dkg. masła, 6 dkg. cukru pudru, szczypta soli. Pośrodku okrągłego ogniotrwałego półmiska ustawić filiżankę do góry dnem. Otoczyć ją drobnemi owocami, nie mieszając ich, a dając jedne obok drugich. Z owoców tych uformować piramidę wysokości filiżanki. Przykryć to wszystko odpowiedniej wielkości kręgiem kruchego ciasta, rozwałkować na pół palca grubo; brzegi ciasta, spoczywające na półmisku, otoczyć wałkiem z ciasta, zręcznie go ukarbować nożem, albo palcami, a ciasto pokrywające owoce ponakłuwać w dosyć dużych odstępach. Posmarować powierzchu rozbitem jajkiem. Piec w dobrze gorącym piecu godzinę.

Sok, jaki puszczą ze siebie owoce, zgromadzi się całkowicie pod filiżanką, wobec czego ciasto nie zwilgnie, a będzie smaczne i kruche

Na tę wyśmienitą leguminę używa się drobnych owoców sezonowych, jak: wiśnie, agrest, maliny. porzeczki. Wiśnie muszą być drążone, agrest oczyszczony z szypułek. Ponieważ zarówno agrest, jak wiśnie i porzeczki mają w sobie dużo kwasu, więc trzeba, układając na półmisku, przesypywać je obficie miałkim cukrem.

Leguminę wydaje się na stół gorącą, prosto z pieca, posypując ją powierzchu cukrem pudrem.

Melba

Budyń owocowy. Dno salaterki szklanej wykłada się dowolnemi smażonemi owocami, jak: truskawki, śliwki, wiśnie, maliny i t. p. Na owoce nalewa się ciepły migdałowy lub waniljowy budyń, przyrządzony w/g przepisu.

Zamiast owoców smażonych, można również wziąć owoce-konserwy według dowolnego zestawienia, maniljowy lub migdałowy budyń wymieszać z żółtkiem, białko ubić na pianę z odrobiną cukru waniljowego i pokryć niem gotowy budyń.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska.* WYDAWCA: *Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza.*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Natolińska 9 m. 13. tel. 7-08-03. Konto P. K. O. 13 191.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.

Drukarnia Krajowa w Warszawie. Chłodna 44. Tel. 5.88-70.

115. KOSTJUM Z BIAŁEJ PIKI JEDWABNEJ, PRZYBRANEJ PASKIEM I KOLOROWĄ BUTONIERKĄ.

116. SUKNIA Z JEDWABIU BIAŁEGO W CZERWONE GROCHY. RĘKAWY PRZEMARSZCZANE.

117. KOSTJUM Z PELERYNKĄ Z ŻÓŁTEJ, LEKKIEJ WEŁNY. PASEK I GUZIKI BRONZOWE.

118. PŁASZCZ PODRÓŻNY Z GRUBEJ SZAREJ WEŁNY.

119. KOSTJUM SPORTOWY Z ANGIELSKIEJ WEŁNY, PRZYBRANY STĘBNOWANIEM.





PYJAMA SPORTOWA Z GRANATOWEGO TRYKOTU, PRZYBRANA BIAŁEMI GUZIKAMI.

PYJAMA YACHTOWA Z GRANATOWEGO WEŁNIANEGO MATERJAŁU. BLUZKA WYKOŃCZONA PASKIEM.

Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44. tel. 5.88-70